Nr. 17. Poznań, dnia 29 Kwietnia 1906 r. Rok X.

Abonament wynosi kwartalnie: na poczcie. . . 1,25 z odnoszeniem do domu . . 1,37 pod opaską . . 2,50

PRACA

Adres Redakcyi: Poznań, ul. Rycerska Nr. 38. Telefon Nr. 1465. Ogłoszenia: od wiersza drobnego 20 fen.

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

Treść nr. 17-go.

BOJKOT.

Od roku przeszło stały się natarczywemi pogłoski, że komisya kolonizacyjna *zakazuje* osiedlonym na swych gruntach kolonistom kupować u Polaków.

Były pogłoski, że odnośny rozkaz wydany został do wszelkich osób mogących mieć, albo mających istotnie bezpośredni wpływ na owych kolonistów. Rozkazu tego jednakże nikt z Polaków, a szczególnie z redaktorów-Polaków nie dostał do rąk.

Trafem, przypadkiem, czy losu igraszką — spadł on na nasz stół redakcyjny. Postanowiliśmy zeń godny uczynić użytek i podajemy go w odbitce do publicznej wiadomości. Na odbitce naszej brak tylko znaków kancelaryjnych komisyi kolonizacyjnej. Znaki te z rozmysłem zniszczyliśmy, zachowując sobie ich odpis na uwierzytelnienie tego, że dokument nasz jest *prawdziwy*.

Lecz spojrzmy na dokument.

U góry na lewo wypisana jest firma: Koenigliche Ansiedlung-Kommision für Westpreussen und Posen — znaczy to: *Królewska* komisya kolonizacyjna dla Prus Zachodnich i Poznańskiego.

Królewska kolonizacya!

W przekonaniu powszechnem ludu „królewskość" łączy się z łaskawością, z wielkością umysłu i serca, ze sprawiedliwością, a chociażby tylko — z litością!

Tak....

Ale tak może było dawniej. . . . . .

. . . .

Zmieniły się czasy, zmienili się ludzie. A choć powszechnie mówi się, że w świecie wielkie postępy poczyniły idee wolności, równości i braterstwa — to na cóż my patrzymy?

Patrzymy na codzienną, straszną walkę, walkę wydziedziczającą nas z praw innych narodów — a wypisującą na całunie naszego narodowego życia straszny wyraz: wyrzeknijcie się przyszłości, przestańcie być Polakami — wyraz zagłady — owo słynne ministeryalne: *ausrotten!*

To też jest — jak się przekonujemy z podanego dokumentu — właściwy cel „królewskiej komisyi kolonizacyjnej." Wypisano wprawdzie na dokumencie datę 15-go lutego 1905 r. Tego dnia — wierzymy — dokument ten został wygotowany, ale ileż takich lub podobnych było poprzednio? A jeśli nie było, to czyż potrzeba nam lepszych dowodów na to, do czego zmierza królewska komisya kolonizacyjna, — jak przemowy ministrów i posłów niemieckich, starających się wykazać ziomkom swoim potrzebę nowych funduszów lub nowych praw na pokonanie nieposkromionej polskości?

Ten dokument jeszcze jednę więcej łuskę zdziera nam z oczu. Oto zdawało się może wielu, że królewska komisya kolonizacyjna przeznaczona jest wyłącznie na to, aby wykupywać *ziemię* z rąk polskich.

Tak istotnie nie jest. Chodzi widocznie — a na dowód stawiamy dokument nasz — o wydarcie nam ziemi, potem o pozbawienie nas chleba w handlu i rzemiośle, zrobienie z nas — niewolników, wznoszących do komisyi kolonizacyjnej błagalne dłonie: *o pracę i chleb.*

Z każdego słowa, z każdego zdania dokumentu tego zda się przebijać ciche hasło, kryte w tajemnicach królewskich kancelaryi: *ogłodzić Polaków!* Ogłodzić ich, to znaczy, przełamać tę siłę moralną, którą oni przeciwstawiają w obronie przed „pruską kulturą" wdzierającą się do miasteczek, wiosek, i chat polskich w postaci — zlutrzenia i germanizacyi, a tak dobitnie swego czasu napiętnowaną w parlamencie niemieckim.

Lecz oto i dokument:

„Królewska Komisya Kolonizacyjna
na Prusy Zachodnie i Poznańskie.

Poznań, dnia 15 go lutego 1905.

Wielokrotnie doszły mnie skargi o to, że panowie rządcy zakupy nie tylko dla dworu, lecz także dla własnego domu robią u polskich kupców, rzemieślników i przemysłowców, i to pomimo, że dana im jest możność, zakupy te poczynić w handlach niemieckich i u niemieckich rzemieślników.

To nie zgadza się z celami komisyi kolonizacyjnej.

Spodziewam się najmocniej, że w przyszłości wszelkie zakupy dla dworu, o ile to tylko możliwe, czynione będą u kupców niemieckich. Będę się od czasu do czasu ***za pomocą kontroli*** przekonywał, czy rozporządzenie to bywa wykonywane.

Równocześnie wolno mi zapewne wyrazić nadzieję, że i panowie rządcy zakupy dla własnego domu odtąd **wyłącznie** w handlach niemieckich załatwiać będą.

Wielkie znaczenie posiada dalej i to, że i kolonistom **z góry oraz nieustannie** zwracać uwagę należy na to, **że jest ich obowiązkiem** podtrzymywać (in Nahrung zu setzen — dosłownie: dawać utrzymanie, żywność) kupców i rzemieślników niemieckich. **Od klienteli kolonizacyjnej** zależy często byt wielu niemieckich przemysłowców po miastach; niestety bardzo często brak kolonistom tego uświadomienia narodowego, które **zakazuje** dawać pierwszeństwo handlom polskim przed niemieckimi (rozumie się tak: że zakazuje chodzić do Polaków kupców zamiast do Niemców).

Zadaniem przeto jest panów rządców, objaśniać kolonistów przy każdej możliwej sposobności o ich **narodowych obowiązkach.** Przy tej okazyi będzie Pan musiał zwracać kolonistom uwagę na to, że ci z pośród nich, którzy obowiązkom tym nie uczynią zadość, nie będą mogli spodziewać się żadnych względów ze strony komisyi kolonizacyjnej.

Ażeby kolonistów zapoznać z handlami niemieckimi, wychodzić będzie jako dodatek do urzędowego orędownika spis polecenia godnych firm niemieckich. Spis ten panom rządcom będzie co miesiąc w dostatecznej ilości rozsyłany i należy go rozdawać pomiędzy tak dawnych jak i nowych kolonistów.“

Naród Polski
pod obcem panowaniem.

5) Opowiedział
Julian Baczyński.

(Ciąg dalszy).

Dla Unitów [1]) zaś była carowa Katarzyna nieubłagana. Już dawniej Piotr Wielki (ur. 1672, um. 1725) bawiąc na Rusi w czasie walki z Karolem XII królem szwedzkim, znęcał się srodze nad unickimi kapłanami, lecz dopiero za Katarzyny II Moskale dopuszczać się poczęli gwałtów na Unitach w ziemiach, które jeszcze do Polski należały.

Jeszcze w r. 1778, kiedy umarł metropolita kijowski Szeptycki, doniesiono carowej:

— Najjaśniejsza pani, biskup unicki Smogoczewski za zezwoleniem króla Stanisława Augusta zasiadł na stolicy metropolii kijowskiej!

— Jakto?! — skoczyła gniewnie Katarzyna — Śmiał to uczynić bez mojej wiedzy, i bez mego pozwolenia?! Wypędzić go zaraz!

A gdy do Kijowa biegli szybko wykonawcy carskiej woli, Katarzyna układała sobie chytre plany:

— Ja tę dyecezyę unicką pozbawię całkiem pasterza i księży, a przez to ułatwię propagandę prawosławną! I znowu odrzuciła innego kandydata na metropolię kijowską a mianowicie ks. Wagińskiego, którego także polecał król polski i nie pozwoliła obsadzać opróżnionych probostw unickich, wskutek czego ludność musiała udawać się do popów i władyków szyzmatyckich, tak jakby już była prawosławną.

Już w drugim rozbiorze (1793) przypadła Rosyi ogromna większość dyecezyi unickich, bo metropolita unicki w Kijowie, Teodozy Rostocki (z zakonu Bazylianów, obrany po długich staraniach po śmierci Smogoczewskiego r. 1789) dalej biskupi piński i turowski, pomocnik tego ostatniego Bułhak i sufragan Butrymowicz, wyświęcony dla części arcybiskupstwa połockiego.

Kiedy po trzecim rozbiorze (r. 1795) wybuchło po-

[1]) Na Soborze Florenckim r. 1439 nastąpiła *unia* kościoła Rzymsko-katolic. z grecko-katolic. Warunki Greko-katolików:

1. Księża mogą się żenić raz jeden przed otrzymaniem święceń kapłańskich. — 2. Wieczerza Pańska udzielaną będzie pod dwiema postaciami, Chleba i Wina. — 3. Językiem liturgicznym (obrzędowym) będzie narodowy (nie łaciński) a więc grecki lub słowiański. — 4. Obowiązuje kalendarz juliański (nie gregoryański czyli nowy). — 5. W dogmacie o pochodzeniu Ducha św. przyjmują Unici dodatek i *od syna* (filioque), naukę o czyścu i o skuteczności modlitw za umarłych. — 6. Uznają za jedyną głowę Kościoła papieża rzymskiego. — Unia ta w Polsce zawarta została dopiero w r. 1576 w Brześciu Litewskim a potem w r. 1720 w Zamościu. — Encykl. Orgelbr. t. V. str. 23. —

Dokument ten, podpisany własnoręcznie przez prezesa komisyi kolonizacyjnej, adresowany jest „an sämtliche Herren Gutsverwalter“ — t. j. do wszystkich panów rządców....

Ton dokumentu jest urzędowy; wyraża „nadzieję,“ „oczekiwania,“ „spodziewa się,“ a mówi tylko o „uświadomieniu narodowem, które zakazuje,“ o obowiązkach, których nie wypełnienie pozbawia tylko „względów komisyi kolonizacyjnej.“

Kto tego rodzaju kancelaryjne pisma zna, kto wie, jaką powagą wszelkie wyższe urzędy cieszą się u t. zw. „rządców“ i „kolonistów,“ ten bez osłonek i ogródki — pismo prezesa królewskiej komisyi kolonizacyjnej nazwać musi — *zakazem kupowania u polskich kupców, rzemieślników i przemysłowców.*

Innemi słowy: jest to ostatni wyraz brutalnego bojkotu przemysłu i handlu polskiego ze strony komisyi kolonizacyjnej.

Jak ten bojkot osądzić?

Musimy go sądzić z punktu widzenia prawa o komisyi kolonizacyjnej i ze stanowiska rozgrywającej się u nas narodowościowej walki.

I otóż ze stanowiska prawa, mocą którego uchwalono i „najwyżej“ zatwierdzono komisyę kolonizacyjną — taż komisya kolonizacyjna bojkotu przemysłu i handlu polskiego nie ma prawa urządzać.

Ona ustanowiona jest na to, by wykupywała ziemię, by tę ziemię dzieliła wśród kolonistów; — ale na tem też jej zadanie się według litery prawa kończy.

Powyższy dokument dowodzi nam, że komisya kolonizacyjna drwi sobie z praw jej przynależnych i robi to co jej się podoba.

Czyżby komisya kolonizacyjna osławione orzeczenie Bismarcka — o przyrzeczeniach monarszych i ich wartości szeląga — *rozszerzyć* chciała także na pojęcie: praw wydawanych z podpisem królewskim?.....

. . . .

Zaiste to ironia losu, że Polacy narodowi filozofów zwracać muszą uwagę na granice praw, praw uchwalonych przez wybrańców tego narodu i przez wybrańców — pogardzanych. Bo kto nie trzyma się ściśle uchwalonego prawa, kto granic jego nie szanuje — ten je depce nogami, ten niem pomiata i pogardza.......

. . . .

Nie miał — twierdzimy — prezes królewskiej komisyi kolonizacyjnej na podstawie prawa o komisyi żadnego prawa do wydawania powyższego zakazu.

Inaczej rzecz ma się ze stanowiska — walki narodowościowej. Z tego stanowiska zakaz ten jest nam zrozumiały. To go atoli bynajmniej nie usprawiedliwia.

My z naszego stanowiska zakaz ten musimy stokrotnie potępić. Ale nie na tem koniec. Oburzeniu naszemu trzeba wytknąć kierunek — *czynu!* Czyn ten, to szerzenie hasła: swój do swego.

Ciekawi jesteśmy, coby się stało z wszystkimi żydami i Niemcami kupcami w przeważnej części dzielnic naszych, *gdyby tak żaden ksiądz, żaden szlachcic, żaden kupiec, żaden przemysłowiec, żaden rzemieślnik, żaden gospodarz, żaden robotnik nie kupił u nich ani — za grosz.*

Dzisiejsze tłuste podbródki i brzuchy mocnoby im schudły, pycha, jaką się nadymają, by znikła — a na koniec z resztkami majątku drapnęliby za dziesiątą granicę.

Daj Boże, by społeczeństwo nasze zrozumiało, jakieby to błogosławieństwo dla nas było, gdybyśmy się pozbyli tych pijawek, krew naszą ssących a wrogich nam.

Byłby to słuszny i sprawiedliwy odwet za ten ucisk, który cierpimy.

Ale daleko nam jeszcze do tego.

. . . .

Nie możemy przy tej sposobności, która o dokumentach takich pisać i mówić nie często nam się zdarza, pominąć jednej jeszcze myśli. Chodzi tu o obłudę, jaką się broni tego całego, ohydnego systemu germanizacyjnego.

Ekscelencye ministrowie, ekscelencye sekretarze stanu, panowie posłowie i hakatyści — przybłędy powiadają, że „bronić muszą uciskanej przez żywioł polski — niemczyzny!“

Kto uciska — a kto broni?

Dokument, który podajemy, dokument urzędowy „do wszystkich panów rządców,“ mających przemożny wpływ na te tysiące kolonistów, których przez lat dwadzieścia do dzielnic naszych zwabiono, — daje nam jasną i żadnej

---

wstanie Kościuszki, carowa Katarzyna nie posiadała się ze złości przeciwko Unii kościelnej.

— Rzecz niesłychana — wołała — Unici biorą udział w powstaniu Kościuszki przeciwko nam!

— O ta Unia kościelna — oburzali się i przyświadczali carowej moskiewscy popi — ona dla nas i dla Rosyi jest stokroć bardziej wstrętna aniżeli nawet łaciński obrządek!

A choć Katarzyna zobowiązała się w traktatach podziałowych, gdyż zmuszoną do tego została, pozostawić w ziemiach zaborczych religię katolicką obu obrządków z jej prawami, posiadłościami i zupełną wolność wyznania, — to zaraz złamała tę przysięgę myśląc jeno o zniesieniu Unii kościelnej.

— Teraz jest pora — mówiła niecierpliwie — do zmiażdżenia tej nienawistnej unii, tylko ludzi zdolnych mi potrzeba!

— Najjaśniejsza Pani ja miałbym kogoś! — rzekł nieśmiało jeden z doradców.

— Siestrzencewicz? — mruknęła pytając.

— Jeszcze ktoś zdolniejszy!

— Któż taki?

— Biskup prawosławny Wiktor Sadkowski. Jest opatem — archimandrytą w Słucku, kocha nas Rosyan bardzo a nienawidzi szczerze Polaków i już w Warszawie cierpiał za nas w więzieniu w czasie Sejmu Czteroletniego!

I wnet poseł carowej stanął w Słucku przed ucieszonym Sadkowskim, który kłaniając się nisko przy wymawianiu imienia Katarzyny rzekł z zapałem:

— Podziękujcie carowej za zaufanie i oświadczcie jej, iż chętnie i z przyjemnością podejmę się dzieła nawracania Unitów na prawosławie, bo srodze nienawidzę Unii i czuję się na siłach stargać węzły religijne, jakie łączą ludność ruską unicką z narodem polskim i ze szlachtą!

Serce przytem wezbrało mu radością, głowa pełna była planów i nadziei, twarz rozpromieniła się a usta szeptały:

— Teraz dopiero zemszczę się na Polakach należycie, teraz pozyskam względy u nowego rządu, a co najważniejsza osoba moja wyniesioną zostanie do znaczenia i zaszczytów.

Katarzyna wydała zaraz groźny manifest do Unitów tej treści:

— Wracajcie do kościoła prawosławnego!

A ślepy wykonawca jej woli Sadkowski uzupełniał to zdanie w ogłoszonej przez siebie odezwie:

— Powracajcie do prawosławia, bo to jest dawna wasza wiara!

Jak echo biegł za tem wezwaniem po Rusi głos episkopa mohylewskiego Jerzego Kunickiego z obłudnym i kłamliwym dodatkiem:

wątpliwości nie pozostawiającą odpowiedź:

Niemcy uciskają — a Polacy się bronią!

Ten dokument zdziera tę maskę obłudy, jaką dotychczas zasłaniała się „uciskana niemczyzna.“

Dokument ten — mamy nadzieję — znajdzie należyty użytek w rękach posłów naszych, a my zeń na przyszłość odpowiednie wysnujemy praktyczne wnioski. — *a* —

Jeszcze pożyczka rosyjska.

Dziś pożyczka rosyjska znajduje się już w okresie ostatnim, t. j. została uchwaloną i finansiści krajów, które w niej udział biorą, starają się o jej urzeczywistnienie.

Pożyczka jak z powyższego wynika stała się więc faktem, przyszła do skutku przed wyborami nawet do Dumy, za staraniem starego, reakcyjnego rządu.

Pożyczka ta jednak dla Rosyi bynajmniej korzystną nie jest, i tylko nadzwyczajne korzyści, ofiarowane bankierom, zdołały ich nakłonić do przeprowadzenia jej.

Warunki jej są następujące.

Suma pożyczki wynosi 2250 tysięcy franków (1 frank tyle co 80 fen.)

Cała pożyczka rozdziela się na *Francyą* 1200 milionów fr., *Rosyę* 500 mil. *Anglią* 330 mil. *Austryą* 165 mil. *Holandyę* 55 mil.

Rosya płaci od pożyczki 5 od sta, co w nowszych czasach jest niebywałą rzadkością. Dług ma być umorzony za lat 40.

Bankierzy otrzymają za uskutecznienie pożyczki 3 od sta jako prowizyę. I to jest procent niebywały, a przyniesie on bankierom zysku 67 i pół miliona franków. Suma ta zostanie potrąconą z ogólnej sumy pożyczki samej.

Co najgorsza to jednak to, że Rosya nie odbierze całej pożyczki w gotówce, że n. p. zamiast 100 fr. odbierze tylko 88,6 fr., a mimo tego dług jej wynosić będzie okrągłe 100. Nadto 1000 milionów franków przypada na zapłacenie naglących długów i to 800 mil. we Francyi, a 200 mil. w Niemczech.

Z wszystkiego tego wynika, że po odliczeniu prowizyi, zapłaceniu najgorszych długów — Rosya nawet miliarda franków nie otrzyma.

A nadto zgodziła się na warunek, że w przeciągu następnych *dwóch* lat żadnej nowej pożyczki nie podejmie.

Porównując tę pożyczkę Rosyi z pożyczkami innych państw, przychodzimy do przekonania, że warunki dla Rosyi są niesłychanie upokarzające. Bankierzy zagraniczni po prostu nad finansami Rosyi rozciągnęli swoją kuratelę i nie pozwalają się jej niemi samodzielnie rządzić.

A polityczne znaczenie tej pożyczki?

Wobec Dumy będzie ono ogromne. Szczególnie chodzi tutaj o to, że — na dwa lata Duma nie będzie miała możności na własną rękę za granicą zaciągnąć jakiejśkolwiek pożyczki chociażby na najwięcej naglące potrzeby kraju. W ten sposób podciętą została Dumie możność przeprowadzenia reform, któreby jej w kraju zapewniły znaczenie i sympatyę.

Krok ten rządu Wittego i Durnowa robi wrażenie niezmiernie chytrego manewru, obliczonego na zdyskredytowanie przyszłej Dumy.

Nie ulega też wątpliwości, że pożyczka zaostrzy stosunek rządu do Dumy. Odzywają się też głosy nie tylko ze strony demokratów konstytucyjnych ale i partyi więcej umiarkowanych, ażeby obecny rząd ustąpił.

Tak więc zdaje się, że pożyczka, która miała utrwalić stanowisko obecnego rządu, przyczynić się może do jego upadku.

Pod adresem „Dziennika Poznańskiego“...

odbieramy z Janówca od p. *Stanisława Radojewskiego* następujące pismo:

Odruchowo chwyciłem za dzisiajszy „Dziennik“ Nr. 86 i wzrok mój padł na artykuł, pisany z Warszawy. Żyjąc od lat ośmiu w Królestwie, bacznie śledząc przebieg prac przedwyborczych, cały ruch partyjny i skutki odnośnych haseł, mogłem sobie o tyle wyrobić zdanie trafne o wadach i zaletach każdego stronnictwa, że nie mile dotknięty zostałem tak powierzchownym sądem o przypuszczalnym wyni-

— Wracajcie do świętej waszej ruskiej wiary! Wracajcie bracia, bo już wiele dyecezyi dobrowolnie powróciło do prawosławia!..

Przez tych to niecnej pamięci biskupów Siestrzencewicza i Sadkowskiego ustanowiony został zakład misyjny a misyonarze dla powagi, bezpieczeństwa i rychlejszego spełnienia ohydnego dzieła przemocy jeździli po parafiach unickich z oddziałami policyi i wojska. Używając w razie potrzeby chytrych podstępów lub przemocy, przeprowadzali to dzieło zjednoczenia wśród przeróżnych gwałtów i nadużyć. Odbywały się sceny, w których nahajkami smagano opornych, względem innych przeprowadzano egzekucye wojenne, innych jeszcze wtrącano do więzienia i w różny sposób dręczono.

Nie ustawały te prześladowania, bo zaciekła Katarzyna wydawała stanowcze i nieodwołalne ukazy:

— Wszyscy ci, których ojcowie po roku 1595 do Unii przystąpili, mają natychmiast powrócić do prawosławia!

Daremnie opierali się takiemu prześladowaniu Teodozy Rostocki, ostatni metropolita Kijowski i senator Rzeczypospolitej polskiej a także arcybiskup połocki Herakliusz Lisowski. Nie posiadali ani siły, ani odwagi, ani zdolności nawet do oparcia się takiemu szatańskiemu dziełu. To też w taki sposób stały się po największej części szyzmatyckiemi Wołyń, Podole i Ukraina, zniesione zostały biskupstwa unickie i klasztory Bazylianów, księża uniccy powypędzani, dobra kościelne zabrane i utworzone w tych ziemiach biskupstwa szyzmatyckie. Jakby skaliste, wysoko wśród strasznej powodzi wzniesione wyspy, powstało w guberniach kijowskiej i podolskiej zaledwie kilka, a w wołyńskiej kilkanaście cerkwi przy unii [2]).

Gdy jednak zanadto po świecie rozgłosiły się te gwałty Katarzyny i gdy Stolica apostolska nie przestawała upominać się u niej o te Unitów krzywdy, wstrzymała nieco to nawracanie i prześladowanie i łagodniej postępować zaczęła. Metropolita kijowski Rostocki jak i biskupi Horbacki, Bułhak i Butrymowicz otrzymali dożywotnie pensye z obowiązkiem zamieszkania w Rzymie lub Petersburgu; pozostali Bazylianie utrzymali się przy swych klasztorach i fundacyach; władzę pasterską nad całą unią otrzymał biskup połocki Lisowski.

[2]) Większą wytrwałość okazali unici gubernii mińskiej i na Białej Rusi, gdzie bardzo wiele cerkwi oparło się nawróceniu i szyzmy nie przyjęło.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ku wyborów w Królestwie Polskiem. Gniewacie się w tym artykule i ubolewacie nad tem Sz. Panowie, że „wszyscy" z niepokojem spoglądają na przyszłe wybory w Królestwie Polskiem, że tam tak zwana narodowa demokracya, czyli po prostu rozrośnięte stronnictwo wszechpolskie zagarnęło prawie całą pracę agitacyjną w swoje ręce „burmistrzując gdzie tylko można, a zawsze identyfikując interesa swej partyi z całym narodem" (chyba z interesami całego narodu?) Otóż nic w tem zdrożnego nie ma, oprócz jednego, t. j. że „wszyscy" zaniepokojeni! Przedewszystkiem kto są ci „wszyscy?" Jeżeli są oni z stronnictwa narodowo-demokratycznego, to nie potrzebują być „zaniepokojeni", przeciwnie, cieszyć się tylko mogą z rozrostu wspólnie odczuwanej idei, jeżeli zaś należą do przeciwnego obozu, to widocznie drobna to tylko garstka nieporuszonych agitacyą mazgajów, lub półgłówków, dążących do uświadomienia ludu przez bardzo niebezpieczne eksperymenta, niebezpieczne powstania, nie tylko dla jednostek otumanionych czczemi frazesami, lecz i dla dążeń całego narodu! Jakież więc mamy partye, zapyta niejeden? Wobec sprzeczności zapatrywań pragnąłbym kilka słów o tem dorzucić. — Głośną była, dodać jeszcze tylko należy w swojem wyłącznie kółku, dawna t. zw. partya ugodowa, obecnie partya „polityki realnej". Nic nie zdziaławszy, zalicza się ona obecnie do przeszłości. Najkrzykliwszą i najruchliwszą była w początkach zadeklarowanej konstytucyi P. P. S. t. j. polska partya socyalistyczna. Hojnie szafując frazesem, zasobna w środki agitacyjne, płynące z „współczujących" biedzie narodu polskiego żydów tamtejszych i socyalistów niemieckich, wyrosła w krótkim przeciągu czasu na olbrzyma. Agitatorowie jednakże przecenili siły swoje naukowe, przecenili cierpliwość ludu, który dognany wreszcie do ostatniej granicy nędzy i rozpaczy coraz to na nowo inicyonowanemi strajkami, odwrócił się od rzekomych jego obrońców i powrócił na łono tego narodu, do którego z duszy należy, porzuciwszy nazawsze, mętne wody międzynarodówki, zaprawione sosikiem polskości. Socyaldemokracya nie potrzebuje, jako znana wszystkim partya, bliższego omówienia, zacznę więc o „Bundzie." Bund żydowski, to dzieło okropnych warunków, w jakich żydzi w Królestwie żyli. Popierany przez bogatych współwyznawców Bund terorem i usilną pracą agitacyjną, zalazł wszystkim za paznokcie. Nie ma jednej gałęzi handlu i przemysłu, którąby nie pragnął przekształcić, ciągnąc korzyści dla swoich. Skutki były też fatalne, czego dowodem nie tak dawne rzezie żydów. I w Królestwie byłoby im nie lepiej się stało, gdyby nie połączenie się Bundu z socyaldemokracyą, co wykluczyć musiało wszelkie gwałty, mające już w perspektywie wojnę domową!

Niedawno powstała również i t. zw. postępowa demokracya. Zaczerpnąwszy program swój od pp. z P. P. S. kokietowała stronnictwo to do ostatniej chwili, nie mając odwagi zawołać do swej lektorki: stój w dalszym pochodzie zniszczenia, zaniechaj eksperymentów na ludzie, zajmij się podmurowaniem rysującego się gmachu, a nie budź tego, na co setki lat pracy się złożyło! A przecież p. H. Kempner z „Gazety Handlowej" mógł i powinien umieć rachować! W ostatnich dniach dopiero powiał ze szpalt tego partyjnego pisma, przemianowanego na „Nową Gazetę", ton więcej zdecydowany, pomiędzy innemi doznała załatwienia kwestya żydowska: żydzi uświadomieni są narodowo, niema co mówić o ich asymilacyi i liczyć się nam z tem potrzeba ekonomicznie i politycznie" — dodała już „Gazeta Polska" organ nar. demokracyi.

Jako na najliczniejsze przypada teraz kolej na stronnictwo narodowo-demokratyczne. O ile kto pragnie być postępowym, musi być demokratycznym, kto zaś nim jest, staje się samo przez się postępowym, wychodzi więc z tego stronnictwo narodowo-demokratyczne alias postępowe. Biorąc sobie za zadanie walkę z organizacyami partyi wywrotowych, stronnictwo wspomniane rządzić się mogło tylko szczerą sprawiedliwością. Niema idei, której nie możnaby było zaszczepić w najzatwardzialsze dusze, lecz ta walka o wyższość ideałów musi być oparta na fundamencie legalnym, stałym, nie może chwiać się to w tę, to w ową stronę, oglądać się na rady przyjaciół politycznych, gdyż to tylko opóźnia a nie przyspiesza akcyi ratunkowej. Tej też maksymie zawdzięcza partya narodowa demokratyczna swoją wziętość! Że narodowi dość tych prób dyletanckich i pustych frazesów, tego dowodem świeżo pozyskane zastępy robotników fabrycznych. Nie tylko samem utyskiwaniem i załamywaniem rąk żyją narody, skrzydeł potrzeba i wiary w swe siły i przyszłość. Kamień po kamieniu, cegiełka po cegiełce, buduje się gmach. Że robota była obmyślaną i zastosowaną przez mężów zaufania do potrzeb i właściwości narodu, to wyłącznie zaleta tych, na których się krzywicie; że kraj nie nuża się w walce bratobójczej, w walce z „burżujami", jak ich tam zwią, to również zaleta tych samych osobistości; że wreszcie powraca wszystko do pracy i normalnego bytu życia, że osiągło się rezultaty doniosłości politycznej, i to bez zaprzeczenia przypisać należy wyłącznie wpływom osób nadających kierunek sprawie. Co się Wam więc, Szanowni Panowie, nie podoba, na co utyskujecie? Toć chyba nikt z Was nie pragnie widzieć u steru konserwatystów, ten przebrzmiały dźwięk, lub też ludzi „umiarkowanych" z polityki realnej, a jednak, co mówi Wasz artykuł? Czy zechcecie mnie objaśnić Panowie? Toć jako Poznańczyk, i tam Was bronić muszę!

Stanisław Radojewski.

Z Królestwa Polskiego i z Litwy.

(Własna korespondencya „Pracy".)

(Uwolnienie więźniów. — Wybory w Królestwie i na Litwie. — Encyklika Papieża o maryawitach. — Wojna religijna. — Mordy w Błoniu. — Fanatyzm sekciarzy. — Ich sprzymierzeńcy. — Socyaliści na wsi. — Odezwa P. P. S. — Rocznice narodowe w prasie warszawskiej. — Skład Dumy a widoki autonomii Królestwa).

Nie sprawdziły się zapowiedzi ogłoszenia powszechnej amnestyi politycznej w pierwszy dzień świąt Wielkiej Nocy. Natomiast generał gubernator warszawski wydał ogólny rozkaz uwolnienia z więzień administracyjnie skazanych włościan i obywateli Królestwa.

Uwolnieni być mają wszyscy pracujący na roli, gdyż dalsze trzymanie ich pod kluczem ujemnie wpłynąć by mogło na stan gospodarstw w chwili obecnej". W ten sposób z więzień w Radomiu, Łomży, Warszawie i t. d. powypuszczano po kilkadziesiąt osób, w innych wypuszczono uprzednio (np. w Lublinie koło 70-ciu) lub w dalszym ciągu uwalniają. Niektórzy z aresztowanych wybrani byli na prawyborców do Dumy — obecnie mogą osobiście przyjąć udział w wyborach.

W miarę zbliżania się terminu tychże, w prasie i społeczeństwie rośnie zainteresowanie się Dumą. Dzienniki są przepełnione sprawozdaniami z prawyborów. Poruszyły się i stronnictwa. Do prawyborców Warszawy odezwę wydały już „Spójnia narodowa" i stronnictwo demokratyczno-narodowe, które do swej odezwy dołą-

czyło listy kandydatów na wyborców ze wszystkich 12-stu okręgów warszawskich. Na listach D N znajdujemy wśród 80-ciu nazwisk także nazwiska Nowodworskiego, Tyszkiewicza, Libickiego (dwaj pierwsi upatrzeni na posłów) ks. Gralewskiego i Henryka Sienkiewicza, który się zresztą zrzekł kandydatury (w liście do włościan). Wyborcy ci, w liczbie 80-ciu, wybrać z pośród siebie mają 2 posłów z m. Warszawy; w dniu 25-go b. m. odbędą się prawybory.

Odezwa D N wskazuje jako postulaty zasadnicze dążenie do autonomii Królestwa Polskiego, utrwalenia swobód obywatelskich oraz natychmiastowego uwzględnienia naszych praw narodowych w życiu publicznem. Kończy się hasłem: „W imię miłości ojczyzny, bądźmy — jednością silni‟.

A czas już nagli: według informacyi „Kuryera Polskiego‟ ostateczne wybory w 6-ciu guberniach kraju oraz w Warszawie i Łodzi odbyć się mają 3-go maja, w kaliskiej i łomżyńskiej 5-go, w warszawskiej zaś i płockiej dopiero 18 maja, czyli w 8 dni *po* otwarciu posiedzeń Izby.

Nad przyczynami wyborczych klęsk naszych na Litwie, gdzie przeszło zaledwie 4 posłów Polaków, zastanawia się „Gazeta Polska‟. Klęska dotkliwa; w gub. grodzieńskiej na 105-ciu wyborców było 36-ciu Polaków, w kowieńskiej na 90-ciu — 35-ciu, a mimo to wynik tak smutny! Pokazuje się oto, że nie posiadaliśmy tam żadnej organizacyi, po stronie polskiej brak było jakiegokolwiek porozumienia, które osiągnąć byłoby można z żydami lub włościanami. Mało! Polacy nie porozumieli się nawet co do swoich własnych kandydatów! Rażące fakty lekkomyślności i niedołęztwa naszego przytacza „Gazeta Polska‟ wysnuwając z przykładu Grodna i Kowna przestrogę dla pozostałych gubernii, gdzie się wybory odbędą już niezadługo. Należy dodać, że „Gazeta‟ od początku samego nawoływała do utworzenia centralnego komitetu wyborczego, któryby zjednoczył wszystkie głosy narodowe na jedną listę kandydatów.

Spadła w Warszawie podczas świąt z ambon encyklika Papieża o maryawitach. Powtórzyły w całości ją pisma warszawskie; zrobiła wrażenie poważne. W encyklice, wystosowanej do arcybiskupa warszawskiego i do biskupów płockiego i lubelskiego, streszczoną jest dotychczasowa działalność Maryawitów, wykazaną szkodliwość, przewrotność, z jaką wprowadzić w błąd chcieli Stolicę św. i sposób, w jaki obecnie w błąd wprowadzają wiernych kościołowi, napiętnowaną jest kłamliwość delegatów sekty, księży Kowalskiego i Próchniewskiego, którzy w złożonych osobiście i na piśmie w S-tem Officium zeznaniach przedstawili działania Maryawitów w świetle fałszywem.

W końcu Encykliki Ojciec Św. potwierdza w całej mocy dawny swój dekret o zniesieniu kongregacyi „Maryawitów‟ oraz wydaje zakaz utrzymywania jakichkolwiek stosunków z Felicyą Kozłowską, przyczem wskazuje, że w razie, gdyby Maryawici z Kościołem się nie pojednali, a otumanionego ludu nie oświecili, to czeka ich wymiar najsurowszych kar duchownych. Z niecierpliwością oczekiwali wierni stanowczego kroku Stolicy Apostolskiej w tej smutnej nad wyraz sprawie. Zło bowiem, wbrew przewidywaniom, przyjmuje coraz to większe rozmiary. Przenosi nas maryawityzm w wieki średnie, wieki zażartych wojen religijnych. Zaczepnie bo występuje ten kult bluźnierstwa i zabobonu. Dajemy ze siebie niezwykle wprost widowisko Europie. Niesłychane historye się dzieją w Błońskiem i Radzymińskiem (gub warszawskiej). Po krwawym mordzie w Strykowie, którego ofiarą padło z rąk sekciarzy 12 katolików, następują niemniej okropne zdarzenia w Błoniu: tu padło trupem pięciu ludzi, 12-stu ciężko raniono — wszyscy prawowierni. Staczane są istne walki; z obydwóch stron bierze w nich udział po kilka tysięcy ludzi, pieszych i konnych, uzbrojonych w drągi żelazne, kije, a często w rewolwery. Celem walk są kościoły, przez obie strony bronione lub zdobywane — i te nie są wolne od scen gorszących: Mankietnicy, broniąc odebranych katolikom kościołów, barykadują się w nich, z wież i z okien miotając pociski i strzały. Głównem siedliskiem mankietnictwa jest Leszno, skąd wyruszyła 3 tysięczna zbrojna wyprawa, by wydrzeć katolikom kościół w Błoniu. Staczane są bezustannie walki na drogach i polach, nie brak też i wypadków skrytobójstw — popełnianych na wiernych przez rozwydrzonych sekciarzy. Wolną od tego nieszczęścia nie pozostaje nawet męczeńska Unia, od tak niedawna korzystająca z wolności wyznawania swej wiary. Kto wie, czy celom sekciarzy nie obcą jest dążność złączenia nas ze schizmą? Są pewne tego oznaki...

Czy list Papieża zaradzi złemu? Wątpić należy, odstępcy bowiem księża zapowiadają, że w razie wrogiego zachowania się Rzymu zmuszeni będą formalnie od niego się odłączyć. Z wyżyn Stolicy Apostolskiej padają słowa miłości i ojcowskiej przestrogi, maryawici nie zostali dotknięci jeszcze ekskomuniką, encyklika zawiera zato wyraźną jej zapowiedź.

Mankietnictwo znajduje poparcie u wszystkich wrogów polskiej idei narodowej: chwalą je żydowscy demokraci postępowi, zaciera ręce rząd, głośno się cieszą gadzinowe organy reakcyi rosyjskiej, uznanie swe sekciarzom wyrażają sfery prawosławno-cerkiewne, wreszcie — czynnie współdziałają mankietnikom i socyaliści nasi.

Pomagają im odbierać kościoły, osadzać maryawickich księży i wypędzać katolickich proboszczów.

Może w ten sposób chcą wynagrodzić sobie niepowodzenie, jakie dotknęło ich w przeprowadzeniu na wiosnę powszechnego strejku rolnego. Zapowiadany szumnie, a organizowany głośno strejk ten chybił na razie zupełnie. Zaledwie z kilku okolic kraju dochodzą wieści o zastrejkowaniu służby dworskiej. I tych parę prób spotkało się z niepowodzeniem wobec pomocy, jakiej okazali gotowość gospodarze włościańscy. Siewy minęły lub są na ukończeniu, lecz socyaliści polscy nie zaniechali dalszych pogróżek. W odezwie „do właścicieli ziemskich Królestwa Polskiego‟, rozesłanej pocztą po dworach wiejskich, P P S posyła „ostatnie ostrzeżenie‟ i jakieś niejasne, niewyraźne pogróżki i zapowiada zbliżającą się walkę klasową na wsi, jako „nieprzepartą konieczność‟. Strejk rolny ma na celu „odrodzenie ludu roboczego na wsi, podniesienie, a nie zniszczenie kultury‟. Od właścicieli rolnych zależy, według P P S, by strejk się odbył w warunkach kulturalnych i był skończony w czasie możliwie krótkim.

Obchodziliśmy niedawno rocznice Kościuszki i Racławic. Wiekopomnym wspomnieniom obszerne traktaty poświęciła tym razem wolna od cenzury prasa warszawska. Pr. Askenazy miał też w filharmonii warszawskiej bardzo na czasie odczyt o wskrzeszeniu Królestwa Polskiego w r. 1815, o naszej ówczesnej autonomii i Sejmie. Czy prędko je odzyskamy?

Do pewnych nadziei w tym względzie nas upoważnia wynik dotychczasowy wyborów w Rosyi.

Zwycięstwo demokratów konstytucyjnych jest tak wielkiem, że aż zwróciło na siebie uwagę całej prasy europejskiej, a rząd zmusiło do poważnego zastanowienia. Opinia caratu wy-

powiedziała się niedwuznacznie w sensie opozycyjnym.

W pismach rosyjskich znajdujemy następujące zestawienie ostatecznego wyniku wyborów w 28 guberniach państwa. Poniższa tabliczka da czytelnikom „Pracy“ dokładne pojęcie w tej mierze.

Ogółem wybrano 179 posłów, którzy się według partyi rozpadają na grupy następujące:

I. Lewica:

grupy skrajne	20
partya kons. dem.	74
postępowców	23
ogół	117

II. Centrum i prawica:

Związek 30 paźdź.	12
partya handl. przem.	1
(reakcya) partya legalnego porządku	6
og.	19

III. Bezpartyjni i nieznanych kierunków 43.

Bez obawy przed zarzutem optymizmu stwierdzić można, że hasło autonomii Polski na ogół uznaje cała lewica rosyjska — z pozostałych partyi — Związek 30 paźdz. jest za zupełnem równouprawnieniem Polaków, ale przeciwnym autonomii. Krańcowo natomiast wrogie względem nas stanowisko zajmują reakcyjne i carosławne grupy rosyjskie w rodzaju np. monarchistów reakcyjnych lub „legalnego porządku.“ Partye te jednak w społeczeństwie rosyjskiem są pozbawione wpływu i znaczenia i zwane popularnie „czarnosecinnemi.“

Na dobrej więc drodze zdaje się znajdować sprawa autonomii Królestwa. Co nam najbliższa przyszłość przyniesie?

Pomyślne zawarcie przez rząd pożyczki $2^1/_4$ miliarda franków przed zwołaniem Dumy zmniejsza widoki szybkiego ustalenia się w Rosyi porządku konstytucyjnego.

Sarmata.

Żydzi
a wybory w Warszawie.

Powszechne dotąd było mniemanie, że żydzi w Królestwie, a szczególnie w Warszawie nie wezmą wogóle udziału w wyborach.

Wobec nadchodzących jednakże wieści z Warszawy ten spokój, a nawet oświadczanie się żydów przeciwko wyborom do dumy wygląda na sprytny manewr. Czekali oni widocznie aż do ostatniej chwili, dufni w słynną, plemienną solidarność, i teraz dopiero na znak swych kahałów rzucają się do biur wyborczych po legitymacye.

Tak przynajmniej sądzić należy po głośnym alarmie na niebezpieczeństwo żydowskie, w jaki biją warszawskie pisma polskie.

Niebezpieczeństwo to zrozumiemy wówczas, gdy zdamy sobie sprawę z tego, że liczba żydów warszawskich jest stosunkowo bardzo wielka, bo na 800 tysięcy ludności liczą żydzi coś około 260 tysięcy. A nadto zbałamuceni przez socyalistów i t. zw. postępowców robotnicy warszawscy z udziałem w wyborach się ociągają. Kiedy dodamy do tego, że i stronnictwa polskie nie idą zgodnie do urny wyborczej, to zrozumiemy, że alarm — Warszawa wybierze posłów żydowskich, jest słuszny.

A jaki by to był wstyd dla Warszawy?! — tej Warszawy, którą naród polski — nie samo Królestwo — uważać dotąd był zwyczajny za serce Polski, z czego Warszawiacy tak byli dumni.

Czy istotnie dojść do tego może? Wybory odbyć się mają w chwili, kiedy artykuł ten dajemy do druku, t. j. dnia 25-go kwietnia. Chodzi tu o prawybory, które się odbywają w 12-tu okręgach. Okręgi te tak są rozłożone, że w 4-ch z nich żydzi tak czy owak mają większość.

Ostatnie wiadomości z Warszawy brzmią, że oprócz w tych czterech żydzi zrównoważyli się z chrześcianami jeszcze w dwóch dalszych okręgach, i że nie wiadomo, jaki będzie ostateczny wynik, bo chrześcianie są oziębli, a żydzi hurmem zgłaszają się po legitymacye, uprawniające do udziału we wyborach.

Pewną otuchą, ale bardzo słabą, napawa nas to jedno tylko, że żydzi rozpadają się również na różne stronnictwa, które własnych stawiają kandydatów. Korespondent lwowskiego „Słowa Polskiego“ nalicza ich aż 12.

Najgorsze jest to jednak, że u Polaków nie ma jedności i zgody. Do tylokrotnie wymienianych dotąd kandydatów demokratyczno-narodowych hr. Tyszkiewicza i adwokata Nowodworskiego — „Kur. Warszawski“ chce dodać swoje kandydatury.

Rozłam więc gotowy. A ponieważ żydzi w ostatniej chwili gotowi się porozumieć — zwycięstwo łatwo im przypaść może w udziale.

W każdym razie wyniku wyborów wyczekiwać należy — z obawą i niepokojem.

Encyklika papieska o Maryawitach,

odczytana została uroczyście w Wielki Czwartek w kościołach w Królestwie. Encyklika, datowana dnia 5 kwietnia, przypomina, że już we wrześniu 1904 Stolica apostolska wydała dekret, znoszący kongregacyę Mayawitów i zakazujący księżom wszelkich stosunków z Kozłowską. Księża Maryawici obiecali wówczas uległość, niebawem jednak powrócili do dawnych praktyk i wreszcie w lutym roku bieżącego oświadczyli biskupom, że zrywają wszelką z nimi łączność. Wówczas, jak wiadomo, rozszerzali oni wiadomość, że papież jest po ich stronie, i że niebawem uzyskają w Rzymie potępienie biskupów.

Encyklika podaje ciekawe szczegóły o zachowaniu się delegatów maryawickich w Rzymie, księży Kowalskiego, uważanego za głowę ruchu i Próchniewskiego. Podali oni papieżowi prośbę, napisaną, jak twierdzili, „z wyraźnego polecenia Pana Jezusa“ i żądali w niej, aby Kongregacya św. Oficyum uznała Kozłowską za „obdarzoną od Boga najwyższym stopniem świętości“ i za „matkę miłosierdzia dla wszystkich ludzi“ i aby uznała wszystkie praktyki maryawickie.

Upomniani przez papieża, delegaci maryawiccy się ukorzyli, obiecali posłuszeństwo biskupom i złożyli odpowiednią deklaracyę. Ale zbyt są oni przekonani o słuszności swej sprawy, aby uległość mogła trwać długo. Encyklika stwierdza, że księża maryawici, znowu dali posłuch kłamliwym objawieniom i wydali odezwy, świadczące o nieszczerości obietnic posłuszeństwa.

Wobec tego Encyklika ponownie ogłasza, że zgromadzenie Maryawitów jest „zniesione i potępione“, i że księżom zakazane są wszelkie stosunki z Kozłowską — i grozi surowemi karami księżom, którzy się nie opamiętają, polecając jednak jednocześnie biskupom łaskawość wobec tych, którzy wrócą do łączności z kościołem.

Odczytanie encykliki odbyło się uroczyście. Akt ten w kościele św. Jana w Warszawie opisuje jedno z pism tamtejszych w następujący sposób:

Po skończonem nabożeństwie wielkoczwartkowem Arcypasterz zasiadł na tronie arcybiskupim w otoczeniu kapituły archikatedralnej, w stalach zasiedli księża kanonicy, poczem na ambonę wstąpił ks. kanonik Dębnicki w asystencyi trzech kleryków, z których jeden podtrzymywał poduszkę

purpurową ze złożonym na niej oryginałem encykliki.

W przepełnionym wiernymi kościele zapanowała uroczysta cisza, poczem ks. Dębnicki rozpoczął czytanie aktu najpierw z oryginału w języku łacińskim, następnie zaś w przekładzie polskim.

Treść encykliki zrobiła na wiernych głębokie wrażenie.

Przegląd prasy.

Na Górnym Śląsku wywołało przejście „Górnoślązaka'' w ręce „Katolika'' mnóstwo komentarzy.

„Katolik'' z okazyi tej napisał kilka bardzo wzniosłych uwag o „zgodzie i jedności'', o tem, że tylko w zgodzie i jedności jest siła, która potrzebna jest do zwalczenia silnych wrogów naszych.

Uwagi te piękne, podniosłe i z narodowego stanowiska słuszne. Niestety na łamach „Katolika'' robią one tuż po zmianie dotychczasowego stanowiska wrażenie arcyprzykre i wywołują widma niedalekiej jeszcze przeszłości.

Toż to ten sam „Górnoślązak'' — wówczas jeszcze w spółce z „Polakiem'' i „Głosem Śląskim'' nawoływał „Katolika'' w imię haseł jedności i zgody, by popierał kandydaturę Korfantego.

Co czynił wówczas „Katolik''? Oto zaznaczał wszędzie i zawsze *swoje* stanowisko — a dziś sam woła o jedność i zgodę. Prawie to ironia losu, która mocą rozwoju warunków zmusiła „Katolika'' do zarzucenia dawnego stanowiska.

Tylko niech „Katolik'' zmieniwszy front nie rości sobie pretensyi do pierwszeństwa na Górnym Śląsku. Sprawa narodowa przypisuje mu *równe* stanowiska w szeregu innych pism, te pisma prawo to mu przyznają, ale słusznie robią, gdy występują w obronie swej zagrożonej samodzielności.

A tak jest istotnie. W ręku bowiem „Katolika'' przed zakupnem „Górnoślązaka'' znajdowały się następujące pisma: „Dziennik Śląski'', „Katolik'', „Praca Bytomska'', „Nowiny Raciborskie'', ma wpływ na „Gazetę Opolską''. Doliczając do tego obecnie „Górnoślązaka'' i „Straż nad Odrą'', przekonujemy się, że rzeczywiście większość pism górnośląskich zajduje się w ręku spółki „Katolika''.

Obawia się i słusznie „Polak'', ze

„zapanuje na Górnym Śląsku monopol polityczny, że wrócą stosunki dawniejsze, wywrócone na czas jakiś przez starą gwardyę „Górnoślązaka'' i dziesiątki tysięcy narodowców.

„Zwraca przeto na niebezpiepieczeństwo zawczasu uwagę wszystkich narodowców i wzywa wszystkich do zszeregowania się pod sztandar narodowców, aby być zawsze w pogotowiu i nie ustawać w pracy.''

W podobny sposób zwraca się przeciwko zmonopolizowaniu prasy polskiej na Górnym Śląsku w ręku „Katolika'' także „Głos Śląski''. Powiada on, że zjednoczenie, że opanowanie całej tej prasy przez jednę spółkę zniweczy *zdrową myśl polityczną* na Górnym Śląsku, że gotowe wrócić dawne czasy i dawne poglądy, do przezwyciężenia których potrzeba było tak ostrą staczać walkę.

Puklerzem według „Głosu Śląskiego'' tej „zdrowej myśli politycznej'' jest *niezależna* prasa, która

„winna być żywem odbiciem projektów, pomysłów, sił, zasobów i prądów, nurtujących w społeczeństwie. Bo tylko wtedy prasa wypełnia należycie swe zadanie i tylko wtedy służy dobrze społeczeństwu. W wszystkich społeczeństwach ucywilizowanych starają się o to, żeby prasa była jaknajlepiej udoskonaloną, bo to nie ulega wątpliwości, że prasa jest jedną z najpotężniejszych dźwigni sił moralnych w społeczeństwie. *Jakie* społeczeństwo, *taka prasa;* i odwrotnie: *jaka* prasa, *takie* społeczeństwo. W wszystkich narodach cywilizowanych zabezpieczają też sobie w konstytucyach potrzebną swobodę prasy jako jeden z klejnotów wolności politycznej. Chodzi bowiem o to, żeby prasa miała potrzebną swobodę przy obronie praw narodów, które często w swych zapatrywaniach i interesach rozchodzą się z rządami''.

Godzimy się w zupełności na ogólna tendencyę tej obrony niezależności prasy górnośląskiej przez „Głos Śląski''. Nie możemy się jednak godzić na to jedno zdanie, że jakie społeczeństwo, taka prasa, jaka prasa, takie społeczeństwo.

Upatrujemy w tym paradoksie pewną ciasność, skarlenie myśli o zadaniu i powołaniu prasy. Gdyby prasa tylko była wiernem odbiciem społeczeństwa, to brakłoby jej — u nas szczególniejszych aspiracyi politycznych.

Bo przecież wiadomo, że skutkiem niesłychanego ucisku, ograniczającego nasze życie polityczne do roli obronnej, w szerokich sferach społeczeństwa istotnie politycznych aspiracyi nie ma. Lecz czyż dla tego, że ich nie ma, to i prasa miałaby ich nie wskazywać?!

Sądzimy, że powinno być właśnie odwrotnie.

By sprawę przejścia „Górnoślązaka'' na własność „Katolika'' wyczerpać, podajemy także głos „Gazety Katolickiej'', założonej przez słynnego ks. dr. Stefana. Nie może ona ukryć utajonej złości z tego, że „Górnoślązak'' nie upadł zupełnie i wylewa dla tego gniew swój na „Katolika'', dziwi się,

„że „Katolik'' przyjął na swą własność pismo, które największe rany zadało Kościołowi na G. Śląsku. Któż nie wie — pisze — o owych niezliczonych napaściach na duchowieństwo, o bezwzględnem podburzaniu ludu do swych przewodników duchownych, o oszczerstwach i kłamstwach rzucanych nie tylko na księży, ale na głowę dyecezyi naszej, jakich to pismo się dopuszczało. Dziwi nas dalej, jak „Katolik'', który sam był przez „Górnoślązaka'' namiętnie zwalczany, wyszydzany i prześladowany, który nawet przez usta redaktora swego dopominał się u Centrum o pomoc w zwalczaniu „Górnoślązaka'', mógł się poniżyć do tego stopnia, że tego byłego najzacieklejszego przeciwnika swego uratował od ostatniego upadku!?''

Złość ta „Katolickiej'' nic nie zmieni. Lepiej w każdym razie się stało, że „Katolik'' nabył „Górnoślązaka'', aniželi gdyby „Górnoślązak'' był upadł.

Może też „Katolik„ na zaczepkę „Katolickiej'' z humorem odpowiedzieć, że „psie głosy nie idą pod niebiosy''.

„Gazeta Katolicka'' jest pismem centrowem i zaciekle wrogiem ruchowi narodowemu, do którego przyznają się obecnie wszystkie pisma na Górnym Śląsku.

* * *

Artykuł nasz o nowych drogach sokolstwa wywołał echo w kościańskiej *„Gazecie Polskiej''*, która godząc się na wywody nasze, formułuje zadanie „Sokoła'' jeszcze ściślej, dzieli pracę jego na *wewnętrzną* i na *zewnętrzną* i pisze tak:

„Sokół'' może i powinien na swych zebraniach poruszać i omawiać sprawy publiczne nie robi także nic złego, zwłaszcza, gdy gniazdo pod względem liczby członków jest liczne — jeżeli wobec zbliżających się wyborów komunalnych z łona swego wybierze kandydata i stara się go przeprowadzić na zebraniu przedwyborczem. Przez to obowiązuje niejako młodszych członków swych do wzięcia udziału w zebraniu i wyrabia w nich niejako cnoty obywatelskie

„To jest jednak sprawą *wewnętrzną* „Sokoła“.

„Na *zewnątrz* „Sokół“ oficyalnie nie powinien jako towarzystwo mając stać ponad partyami, od siebie polecać upatrzonych kandydatów, ponieważ:

„1) prawo stawiania kandydatów mają według regulaminu wyborczego *Komitety wyborcze i wyborcy* sami.

„2) „Sokół“ jako towarzystwo *wyborcą nie jest.*

„3) przez narzucanie ogółowi własnych kandydatów „Sokół“ może źle usposobić do siebie część obywateli, przeciwnych postawionej przez siebie kandydaturze, a tego w własnym i idei sokolej interesie unikać powinien.

„4) „Sokół“ w łonie swem posiada oprócz wyborców nie należących do jednej klasy wyborczej także wielu niewyborców.

„Z powyższego wynika więc, iż „Sokół“ może na swem zebraniu wybrać sobie kandydata, któregoby najchętniej życzył sobie mieć radnym, ale na zebraniu przedwyborczem kandydaturę tę powinien zaproponować członek *jako obywatel-wyborca w imieniu własnem, a przenigdy w imieniu gniazda*, którego jest członkiem“.

Wywody te potwierdzają to, co i „Praca“ w tej sprawie napisala.

* * *

„Dziennik kujawski“ widzi na widnokręgu politycznym zjawiska, które zapowiadają zmianę obecnej polityki antypolskiej u nas, przestrzega jednakże przed „ukołysaniem się do miłej drzemki“ w naszej obronie, bo

„jeżeli kurs hakatystyczny zniknie, niemczyzna innych dróg sobie będzie szukala do naszego wytępienia, bo *walka jej z Słowiańszczyzną prędzej nie ucichnie, aż jedna lub druga strona nie da za wygraną* i nie pogodzi się z losem zwyciężonych.

Walka ta, wydana nam przez niemczyznę, będzie to ustawała, to się potęgowała; będzie to zależało od skuteczności środków bojowych lub też położenia politycznego na zewnątrz. Chociażby nawet i hakatyzm pruski znikł z widowni publicznej, nie ufajmy nigdy Prusakom, bo są to nasi najwięksi i najniebezpieczniejsi nieprzyjaciele, którzy zawsze będą czyhali na naszą zagładę.

Gdyby dzisiejszy system prześladowczy w Prusach na pewien czas się zmienił, byłoby to znakiem, że nas chcą ubić inną bronią, mianowicie uśpieniem naszej narodowej energii. Niech się więc nikt słodkiemi słówkami pruskiemi nie da zmiękczyć lub uludzić, bo polityka pruska od wieków idzie nieraz drogami krętemi, lecz zawsze dążącemi do pewnego celu, jak nas uczy historya, a Prusy swej misyi tępienia i podbijania Słowian nigdy się nie sprzeniewierzą, boby wtenczas przestały być Prusami.

Dzisiejsza polityka pruska wobec nas nie jest jeszcze tak niebezpieczną, bo nam otwiera oczy i łączy nas do wspólnej pracy narodowej, lecz dopiero wtenczas byłaby niebezpieczną, skoroby poszła śladem systemu Capriviego i zaczęła nas głaskać ugodowością. Wtenczas stałaby się nam rzeczywiście niebezpieczną, bo byłaby dla wielu z nas ukołysaniem do wieczystego zaśnięcia narodowego i plemiennego.

Pamiętajmy zawsze o tem, że obok naszej przynależności do polskiej narodowości jesteśmy cząstką wielkiej Słowiańszczyzny, która zaczyna się budzić do spełnienia swej wielkiej misyi dziejowej i że przyszłość naszego narodu zależną jest od zorganizowanej potęgi słowiańskiej“.

Uznajemy przestrogę „Dziennika kuj.“ za słuszną i piszemy się na nią. W jednem tylko nie możemy się z nim zgodzić, że „walka z Słowiańszczyzną prędzej nie ucichnie, aż jedna lub druga strona (t. j. Niemcy lub Słowianie) nie da za wygraną i nie pogodzi się z losem zwyciężonych.“

I cóż będzie dalej?

Przypuśćmy, że Niemcy zwyciężą. Czyż walka ustanie wówczas?.... czyż Słowianie tak jak barany pozwolą się zarzynać, obdzierać ze swych skarbów narodowych, cywilizacyi, kultury i języka?

Toż my od stu przeszlo lat jesteśmy zwyciężeni, Polakami być nie przestaliśmy i — da Bóg — nie przestaniemy.

Co to znaczy? To znaczy, że zwycięstwo może zmienić *sposób* walki — ale walki nie kończy.

Chociażby więc Słowiańszczyzna w walce z Niemcami uległa, to to jeszcze ani koniec walki, ani koniec Słowiańszczyzny.

Myśmy tę myśl właśnie wyszczególnili, bo stanowi ona dla nas przynajmniej zasadniczą sprzeczność z zachętą do obrony, jaką artykuł „Dz. kuj.“ zawiera. Powiedzieć gołosłownie, że walka nie ucichnie, aż jedna lub druga strona nie da za wygraną i *pogodzi się* z losem zwyciężonych — to dla nas jest zarazem zrzeczeniem się wszelkich nadziei zwycięstwa.

Czyż my tej nadziei kiedykolwiek zarzekliśmy się?

Nie dotąd — i nigdy na przyszłość!

* * *

„Polnische Correspondenz,“ pismo wychodzące we Wiedniu, a przeznaczone wyłącznie dla użytku gazet donosi z Berlina o planowanej zmianie polityki polskiej w *Prusiech* co następuje:

„W polityce polskiej Prus przygotowuje się zwrot: wprawdzie nie zasadniczy, nie sprzeczny z dotychczasową polityką, wcale nie tego rodzaju, jaki się urzeczywistnił za kanclerza Capriviego, ale na każdy sposób uwagi godny i mający związek z obecnem położeniem politycznem Europy. Wprawdzie polska polityka Prus zachowa na oku swój cel, w rzeczywistości starać się będzie o pozostanie taką samą, ale co do formy będzie bardziej uprzedzającą, okazywać będzie Polakom więcej, niż dotychczas, uprzejmości. Obecny minister spraw wewnętrznych, Bethman-Hollweg, jest człowiekiem zdatnym do przeprowadzenia takiej polityki, unikającej dokuczania i drażnienia. Ten zwrot stoi w związku, jak już zaznaczono, z położeniem, jakie stworzyła wojna i wypadki rewolucyjne w Rosyi. Nadzieja Polaków w Rosyi uzyskania autonomii, dotychczas się nie spełniła. Z drugiej strony Rosya Polakom poczyniła znaczne koncesye na polu szkolnictwa. Z względami na te fakty łączy się w Prusiech i całych Niemczech niemiłe wrażenie zachowania się Rosyi w Algeciras, z powodu depeszy hr. Lambsdorffa do hr. Cassiniego i z powodu ogłoszonej tej depeszy w paryskim dzienniku „Temps“, spowodowanego przez Nelidowa, rosyjskiego ambasadora w Paryżu. Nie trzeba zaś zapominać, że polska polityka Prus najczęściej spowodowana była wprawdzie niewyłącznie, ale w znacznym stopniu względami na Rosyę. Jednym z największych zarzutów, jeżeli nie najcięższym, który robił Bismark swemu następcy Capriviemu, było, że Caprivi przez swą przyjazną do Polaków politykę, znacznie pogorszył stosunki Niemiec do Rosyi. Otóż wskutek wspomnianych wydarzeń, w Prusiech nie ma się już zamiaru zachowywać takich względów dla Rosyi i pod tym wpływem przekształci się w przyszłości polska polityka w Prusiech“.

Notatka ta godna uwagi. Nie możemy jej na razie jednak przyznawać wielkiego znaczenia. Toż ekscelencya Bethman-Hollweg twierdził w sejmie, że jest przeciwnikiem polityki kłucia śpilkami. Stwierdzono atoli, że bodaj za żadnego ministra spraw wewnętrznych nie rozwiązano *tylu wieców polskich* — ile za jego rządów. Jak można fakt ten pogodzić z przyrzeczeniami ministra i doniesieniami o zmianie kursu pruskiego?

Tydzień polityczny.

Po tylu domaganiach ze strony narodu, po kilkokrotnych uchwałach parlamentu zdecydowała się w końcu rada związkowa *Rzeszy niemieckiej* — do przedłożenia projektu o dyety poselskie. Projekt ten prawdopodobnie przyjdzie pod obrady sesyi parlamentu rozpoczętej w ubiegły wtorek.

Jakże ten projekt wygląda? Nie ma w nim właściwie mowy o dyetach, t. j. o wyznaczeniu pewnej kwoty za dnie sesyjne parlamentu. Przeciwnie projekt żąda najpierw ograniczenia sumy wynagrodzenia poselskiego za całą kadencyę i to 3000 mk. Te 3000 marek mają być posłom wypłacane w ratach miesięcznych po 500 marek. Za nieobecność na sesyi potrącona ma być kwota 30 marek.

Projekt ten kół niemieckich nie zadowolił dla tego szczególnie, że zawiera on zmianę głosów, mających prawo do stanowienia uchwał. Projekt obecną liczbę wymaganych głosów zmniejsza. Tymczasem domagano się powszechnie, ażeby ustanowiono dyety w tej myśli, ażeby zwiększyć liczbę posłów biorących udział w obradach parlamentu. Powszechnie także nie podoba się żądanie projektu, ażeby posłom za nieobecność potrącać aż 30 marek za sesyę.

Prawdopodobnie projekt rządowy zostanie w parlamencie znacznie zmieniony.

Prasę zagraniczną obiega przepowieść nowej *rosyjsko-japońskiej* wojny. Pochodzi ona od jednego z najlepszych znawców stosunków na dalekim wschodzie, Rosyanina Bazenowa. On to w memoryale z roku 1897 przepowiedział ukończoną niedawno wojnę. To właśnie nadaje książce ofiarowanej generalnemu sztabowi w Petersburgu pewną wartość. Przepowiada on, że nowa wojna wybuchnie za 6 lub 7 lat i toczyć się będzie o to, ażeby Rosyę zupełnie odepchnąć od brzegów morskich spokojnego Oceanu, a więc o *Władywostok*. Przepowiednia ta może się wydawać prawdopodobną.

We *Francyi* rozpoczęte po katastrofie w Courrieres rozruchy robotnicze nie ustają. Rozruchy starają się różne partye wyzyskać przeciwko obecnemu rządowi. Nacyonaliści chcą je wyzyskać w czasie nadchodzących wyborów, a socyaliści ostro napadają ministra *Clemenceau*. — Tymczasem dochodzą wieści, że rozruchy i strajki zamiast ucichać, — mnożą się.

Prezydent *Stanów Zjednoczonych* Półn. Ameryki Roosewelt odrzucił pomoc zagranicy, ofiarowaną na nieszczęśliwych w San Francisco. Wypadek ten wywołał długie komentarze w prasie różnych krajów. Tu i owdzie uważają odmowę Roosewelta za obrazę nieomal. Rzekomo poczucie litości nad dotkniętymi tak strasznym wypadkiem nakazywać ma przyjęcie płynących na ich rzecz zapomóg.

Nam — ze stanowiska narodowego — krok Roosewelta się podoba. Jest on wyrazem pewnej dumy, ale dumy z tego, że jego kraj sam może ułagodzić smutną dolę swoich ziomków i braci.

Żadnej pomocy od nikogo obcego — to widocznie ideał amerykańskiego prezydenta.

Tymczasem dotąd ogrom katastrofy w San Francisco nie jest jeszcze zupełnie znany. Nadchodzą nieustannie straszne wieści o wypadkach zgrozy podczas pożaru miasta. Pożar pod koniec ub. tyg. udało się przytłumić. Świeże atoli wieści doniosły, że wybuchł on na nowo i przybiera dla miasta kierunek bardzo niebezpieczny, mogący do reszty zniszczyć to, czego pierwszy pożar jeszcze nie zniszczył, tem więcej, że trzęsienie ziemi się powtórzyło z równą siłą co pierwsze i trwało także całe 3 minuty.

W San Francisco rozpoczęto akcyę ratunkową w szerokim stylu. Obawie, że nieszczęśliwą ludność nawiedzi głód, zapobieżono w zupełności. Tłumy pracują nad usunięciem rumowisk. Na zgliszczach starego rozpocznie się wznosić niezadługo — nowe San Francisco.

Matkom pod rozwagę

poddajemy następujące uwagi, jakie odbieramy od jednej z matek —Polek przebywających od dawna na obczyźnie. Przedmiot jej korespondencyi tyczy sprawy bardzo żywotnej, bo sposobu nauczania dzieci religii, czytania i pisania po polsku. Naukę tę, jak donoszą ze wszech stron, rugują się ze wszystkich szkól, w których dotąd była jeszcze udzielana. Owoż matka ta pisze nam, jak ona sobie daje radę z nauką dziecka tam, gdzie o nauce polskiej nigdy mowy nie było — t. j. w Berlinie. Korespondencyę jej podajemy w całości, zawiera ona wiele cennych uwag, godnych namysłu i uwagi:

Charlottenburg. dn. 20-go kwietnia 1906.

Z okazyi zupełnego usuwania języka polskiego z nauki religii nawet w najniższych oddziałach szkólnych, pozwalam sobie poczynić kilka uwag, a jako matka — Polka, tu na obczyźnie, zmuszona dziecko już od najniższej klasy posyłać na religię niemiecką, podaję do ogólnej wiadomości, jak sobie radzę, aby dziecko z religii korzystało i zarazem po polsku nie zapomniało.

Obecny system szkólny, wkłada na nas matki obowiązek, którego nasze matki dawniej nie znały. *Ani religia udzielana dzieciom naszym w niemieckim języku, ani wszelkie inne wysiłki wrogich nam żywiołów, dzieci naszych nie zgermanizują, jeżeli same ręki do tego nie przyłożymy.* Trzeba nam czuwać, wiernie stać na posterunku, na który nas obecne stósunki wysuwają, jeżeli nam chodzi o miano prawdziwej matki — Polki.

Na nic nam wszelkie skargi i żale, jeżeli w zwątpieniu opuścimy ręce, zapominając o świętym naszym obowiązku: *tłomaczenia zasłyszanej przez dziecko nauki religii w szkole, w języku niemieckim, na polski.* My wiemy, czego nas w pierwszym roku w szkole uczono z religii, tego i dzisiaj uczą. W pierwszym roku pomoże nam mała historya biblijna (Szustera) trzeba najpierw dziecko wypytać, czego się uczyło, potem to samo opowiedzieć po polsku, przedstawić na obrazku, nawet przeczytać kilka razy. Chociaż dziecko nie rozumie po niemiecku, jeżeli dziecku pomożemy, przypomni sobie.

W ten sposób dowiemy się, czego się uczyło i wiemy co mamy dziecku tłomaczyć. Na przyszłej lekcyi religii dziecko już łatwiej rozumie i dochodzi do tego, że wie przynajmniej, czego się uczy. Łatwiej już w drugim roku, kiedy dzieci czytać umieją i religii uczą się z katechizmu i historyi. Tu już koniecznie, obok niemieckiego trzeba nam mieć polski katechizm i historyę. Trzeba zadaną naukę dziecku kilka razy przeczytać po polsku, dobrze wytłomaczyć, i kiedy już dobrze rozumie, dopiero niech się uczy po niemiecku. Nie mogę pochwalić rodziców, którzy mówią: *dla tego, że po niemiecku, dziecko nie potrzebuje wcale się uczyć.* Chyba mi każdy uwierzy, że i ja wolałabym, aby dziecko uczyło się tylko po polsku, że wolałabym sobie oszczędzić trudu tłomaczenia, ale z dwojga złego, wybieram mniejsze i wolę już tłomaczyć aniżeli z dziecka zrobić głąba i naukę mu całkiem obrzydzić. Przeciwnie zachęcam dziecko do nauki, tłomaczę i pomagam we wszystkiem, przedewszystkiem budzę chęć do nauki. Niech znowu tego nikt błędnie nie zrozumie, że może za dziecko całe lekcye odrabiam. Nie, to więcej szkodzi, jak pomaga, tylko tłomaczę, naprowadzam na właściwe zadanie, zresztą musi dziecko swoje prace samo odrabiać.

W takim tylko razie pierwszy sąd

ocenienia pracy i zdolności dziecka pozostanie rodzicom, trzeba się starać o to, żeby wypadł, mniejwięcej na równi z sądem nauczyciela.

Przy tłomaczeniu religii osiągnęłam i inny rezultat, z którego jestem bardzo zadowolona i czego również życzę wszystkim rodzicom polskim. Jak tylko dziecko poznało litery łacińskie, douczyłam polskich, pomału zaczęło dziecko sylabizować po polsku. Dziś po dwóch latach dość dobrze pisze i czyta po polsku. Kiedy umiało czytać po polsku, budziła się w nim chęć do pisania, i tak uczyłam najpierw liter, potem wyrazów, dziś już dyktando napisze. Naturalnie dodaję także liczbę błędów pod dyktandem, tak, że dziecku się zdaje, że to to samo co w szkole z niemieckiem dyktandem. Mam nadzieję, że w ciągu sześciu lat, w których jeszcze do szkoły chodzić będzie, jak w niemieckim tak w polskim douczy się reszty, i że choć wychowane na obczyźnie, śmiało będzie mogło wrócić do kraju bez zarzutu, że się zgermanizowało na obczyźnie. Nawet przy dobrej chęci nie potrzeba i tutaj zatrącać niemieckim akcentem, który to zarzut mógłby tu na obczyźnie niejednego spotkać. Tam w kraju w tym względzie nie ma obawy, bo w prywatnem życiu dzieci, przeważają polskie, a tu na obczyźnie jest zupełnie przeciwnie.

(Tutaj następuje w korespondencyi naszej dłuższy ustęp o biciu dzieci w szkole, z którym niezupełnie się godzimy. Radzi autorka, aby rodzice o ile możności starannie uczyli dzieci do szkoły, to upadnie powód do bicia. A jeżeli — pytamy — rodzice po niemiecku nie umieją, cóż oni poradzą? Wina trudności w nauczaniu dzieci polskich, które nauczyciela denerwują, spada na system szkolny. Wszelkie obicia, a co najmniej olbrzymia część tych, które do publicznej dostały się wiadomości, tylko temu systemowi przypisać należy. To oczywiście nie zwalnia rodziców z obowiązku pomagania dzieciom w nauce szkolnej w ogóle. Po tych uwagach brzmi korespondencya nasza dalej tak:)

. . . Nie mogę pochwalić korespondencyi, w jednem z pism poznańskich z *Osieczny*, gdzie korespondent unosi się nad czynem chłopaka, który ostatniego dnia, kiedy ukończył szkołę, podarł książkę na strzępki, uczynił z niej coś w rodzaju kropidła i strzępkami z książki poświęcał klasę, rzekomo dla tego, że dzieciom polskim niemiecka książka obrzydła. *Doprawdy byłabym bardzo ciekawa, czy ten chłopak ma większe zamiłowanie do polskiej książki?* Ja w tym czynie chłopaka, widzę swawolę wielką i uciechę, że książkę może w ogóle do kąta rzucić. Dziwi mnie tylko, że znalazł się ktoś, co umiał to pochwalić. Przy obecnej walce, o nasz skarb największy, o nasz język ojczysty, nie zapominajmy o najgłówniejszem zadaniu naszem: *o pielęgnowaniu nauki w ogóle.* Wołamy o więcej oświaty wśród ludu, ale jeżeli w dziecko wpoimy wstręt do książki, rzekomo dla tego, że niemiecka, *trudno będzie później obudzić zapał i do polskiej książki. My rodzice uczmy po polsku koniecznie, ale to, co nam szkoła daje w niemieckiem, bierzmy i korzystajmy z tego.* Jakaż nas litość bierze, widząc tutaj ten ciemny naród z Galicyi i Rosyi, który tu do pracy przyjeżdża. Kiedy zdarzy się słyszeć jak taki sam robotnik Niemiec, którego tu szachmajstrem nazywają, traktuje ten biedny nasz ludek na równi z bydłem, namacalnie uczuć się daje wyższość naszego robotnika umiejącego przynajmniej czytać i pisać. Staraniem nas Polaków powinno być, aby nasze zachowanie pod każdym względem zasługiwało na szacunek ogólny. O to zwłaszcza niech się matki starają i to niech dzieciom swoim wpajają. Z sądem naszym o nauczycielach wrogich nam w obec dzieci trzeba nam się wstrzymywać, *nie budźmy w dzieciach naszych nienawiści do wrogów, ale rozbudzajmy miłość do swoich;* to powtarzam bo to jest bardzo ważne. Jeżeli my matki, nasze nowe obowiązki sumiennie spełniać będziemy, nie ustraszą nas żadne nowe zakazy, i żadne wpływy nam dzieci nie zgermanizują. Niechaj nie darmo śpiewają o nas: „Bo z ich to piersi płynie trucizna, którą wrogowie się trują“. *Polka na obczyźnie.*

Wilk a jagnię w bajce.

Od jednego z księży naszych otrzymujemy co następuje:

Wiadomo, iż księża berlińscy żadną miarą dzieci polskich nie chcą przysposabiać do pierwszych sakramentów św. w ich rodzinnym języku. O przemowie do komunii św. niema mowy. Tak wygląda sprawiedliwość duszpasterzy berlińskich Niemców.

U nas w Księstwie, w *Spławiu* na życzenie ks. biskupa ks. Podkomorski do jednego dziecka przemawia po niemiecku — w *Środzie* ks. mans. Gaczyński dla trzech — mówię i piszę — dla trzech dzieci komunikujących urządza osobne nabożeństwo i przemawia do nich w kulturnym języku. Tymczasem Niemcom-katolikom średzkim w liczbie około 50 nie wystarcza to, chcą mieć dla swego użytku kolegiatę i co niedzielę „ogłoszenia“ niemieckie!

Ot taka różnica między duchowieństwem niemieckiem a polskiem — taka różnica między pretensyami Niemców katolików — a skromnemi życzeniami Polaków. *Ks. .....*

„Straż.“

Walne zebranie Towarzystwa „Straż“

odbędzie się w Poznaniu w niedzielę, dnia 29 kwietnia o godzinie 12 w południe na wielkiej sali Lamberta.

Porządek obrad:

1. Zagajenie.
2. Wybór marszałków, sekretarza i ławników.
3. Sprawozdanie kierownika Biura „Straży“.
4. Sprawozdanie głównego skarbnika i komisyi rewizyjnej.
5. Sprawozdanie przewodniczących czterech sekcyi „Straży“.
6. Wybór wylosowanych 7 członków Głównego Zarządu.
7. Zmiana ustaw „Straży“.
8. Przemówienie Dra Pawła Gantkowskiego.
9. Wolne głosy.

Na zebranie to tak miejscowych jak i zamiejscowych członków „Straży“ zaprasza

Główny Zarząd „Straży“
Józef Kościelski, prezes.
Dr. Władysław Mieczkowski, sekretarz.

* * *

— *Walne zebranie starostów Straży* odbędzie się w Poznaniu w niedzielę dnia 29-go kwietnia o godzinie 5-tej wieczorem w Hotelu Francuskim.

Porządek obrad:

1. Zagajenie.
2. Sprawa funduszu gwarancyjnego.
3. Zmiana regulaminu Straży.
4. Wolne głosy.

O najliczniejsze przybycie gorąco prosi

Główny Zarząd Straży.
Józef Kościelski, prezes.
Dr. Władysław Mieczkowski, sekretarz.

* * *

Wiec dla powiatu tczewskiego odbył się tym razem bez przeszkód w Pelplinie. Z powodu nieobecności starosty „Straży“ zagaił wiec i przewodniczył mu kierownik „Pielgrzyma“ p. J. Bieliński.

Po krótkiem przemówieniu wstępnem udzielił przewodniczący głosu delegatowi „Straży“, p. Stanisławowi

Zielińskiemu z Poznania, który w dłuższem przemówieniu rozwiódł się o „Straży“, o położeniu naszem na kresach zachodnich i o potrzebie organizacyi naszych sił narodowych.

Po krótkiej przerwie, podczas której zapisywano członków, przemówił p. J. Bieliński z Pelplina o naszych obowiązkach narodowych. Następnie zabrał raz jeszcze głos delegat p. St. Zieliński z Poznania i nawoływał zebranych do gorliwej obrony zagrożonych praw naszych„ poczem przewodniczący wiec zamknął.

Do „Straży“ dało się zapisać około 150 rodaków.

Ruch w Towarzystwach.

— *Sprawozdanie Towarzystwa Pań Miłosierdzia św. Wincentego a Paulo w Nakle, z czynności za r. 1905.*

Członków liczy Towarzystwo 42; z tych większa część zajmuje się odwiedzaniem chorych. Towarzystwo stale wspiera 30 osób starych, niezdolnych do pracy; prócz tego rozdano ubogim w roku ubiegłym 340 obiadów; na Wielkanoc obdarzono 30 osób święconem, na Gwiazdkę 26 sierót ciepłemi ubrankami, prócz tego dostały około 50 dzieci rozmaite przedmioty do ubrania, dalej pierniki, jabłka i t. d. a 30 ubogich staruszek obdarzono wiktuałami, mięsem, węglami i t. d.

Przy tej uroczystości przemówił do dzieci w serdecznych słowach ks. prof. Krzewiński, pobudzając je do wdzięczności dla swych dobrodziejów.

Zimą urządziło Towarzystwo 2 przedstawienia amatorskie i 2 herbatki, latem majówkę, przeznaczając czysty dochód dla ubogich.

Dochód wynosił w r. 1905 1696,05 mk.
Rozchód wynosił w r. 1905 1188,52 mk.
Pozostaje w kasie 507,53 mk.

Zarząd składa się z następujących pań: Stachowska, przewodnicząca; Rzendkowska, zastępczyni; Kowalska, sekretarka; Giżewska, skarbniczka. Posiedzenia odbywają się co miesiąc w każdą niedzielę po pierwszym.

Prawdziwa dobrodziejka naszego Towarzystwa jest p. hr. Potulicka z Potulic, która nas nie tylko hojnemi datkami pieniężnemi wspomaga, ale jest prawdziwym aniołem opiekuńczym dla biednych. Wdzięczność należy się również naszemu proboszczowi, ks. Mierzyńskiemu, który otwartą ma dłoń dla ubogich, i nie mało w ostatnich dwóch latach do rozwoju Towarzystwa się przyczynił.

Na tem miejscu składamy w imieniu Towarzystwa pani hr. Potulickiej, szanownemu duchowieństwu z miasta i okolicy, oraz wszystkim naszym dobrodziejom stokrotne „Bóg zapłać“.

Zarząd.

Szanowne pisma polskie prosimy uprzejmie o łaskawe powtórzenie powyższego sprawozdania.

Wiadomości.

* **Wiernemu Czytelnikowi „Pracy“** *p. Michałowi Braunowi* i jego godnej małżonce *Maryi* z Poznania składamy niniejszem w dniu srebrnego wesela w niedzielę dnia 29-go kwietnia 1906 roku nasze najserdeczniejsze życzenia. Oby Wam, zacni Państwo, Bóg litościwy dał długie lata czerstwego zdrowia, oby przysparzał Wam pomyślności i drogi żywota Waszego zaścielał szczęściem i powodzeniem i pozwolił w szacunku u blizkich, krewnych i rodaków doczekać wesela złotego.

Redakcya i Wydawnictwo „Pracy.“

* **Dola redaktorów:** W środę dn. 18-go b. m. wieczorem o godzinie pół do 6-tej zawarła się furtka murów więziennych za redaktorem „Górnoślązaka“ p. *Antonim Wolskim.* Pan W. musi odsiadywać miesiąc więzienia za rzekomą obrazę jednego z nauczycieli.

Proces przeciwko p. *Sylwestrowi Czarneckiemu* odbył się w ub. tygodniu w Kościanie. Pan C. jako redaktor „Gaz. Polskiej“ postarał się o biblioteczkę dla dzieci, książki wypożyczał — bezpłatnie, a policya nałożyła nań karę za przekroczenie ordynacyi procederowej, zawierającej przepis, że każdy proceder winien być policyjnie zameldowany. Pan Cz. wykazał, że książeczki wypożycza *bezpłatnie*, sąd przeto zwolnił go od winy i kary. Biblioteczek bezpłatnych zatem policyi meldować nie potrzeba.

Były redaktor „Pokraki“ p. *Bolesław Rakowski* stawał 19-go kwietnia przed poznańską izbą karną, oskarżony aż o 4 sprawy. Pierwsza sprawa już raz rozpatrywana — za rzekomą obrazę panien Sałeckiej, Sroeder i Dolaty w 48-mym numerze „Pokraki,“ która im wytknęła, że występowały w niemieckich przedstawieniach. — Wyrok opiewa na 20 marek i odwołanie rzeczonej obelgi w „Pokrace“ i trzech pismach niemieckich. Drugą sprawę o obrazę p. Walentego Nogi na wniosek skarżącego sąd cofnął, nakładając powstałe koszta oskarżonemu. W trzecim przypadku chodziło o modlitwę, wierszem ułożoną, która do gwałtów pobudzać miała. Wniosek o odroczenie sprawy został odrzucony, prokurator zaś wniósł o 2 miesiące więzienia. Sąd skazał R. na 100 marek grzywny i zniszczenie odnośnego numeru (43) „Pokraki.“ Czwartą sprawę za obrazę majestatu odroczono na wniosek oskarżonego.

* **O zapaleniu mózgordzeniowem** w obu powiatach poznańskich rozniosły wieść tutejsze pisma niemieckie i powtórzyły ją polskie, jako rzekomo pochodzącą z wiarogodnego źródła. Urzędowo wiadomości tej zaprzeczają.

* **Towarzystwo dziennikarzy** i literatów polskich na Rzeszę niemiecką wydało w marcu r. b. „Noworocznik“ (Jednodniówkę), z której czysty dochód przeznaczony jest na założenie kasy emerytalnej dla członków. Towarzystwo nie szczędziło ani kosztów ani zabiegów, aby wydawnictwo swoje doprowadzić do takiego stopnia doskonałości, jaki w naszych trudnych warunkach osięgnąć się daje.

Treść jednodniówki jest wielce urozmaicona. Składają się na nią utwory poważniejsze i lżejsze, wierszem i prozą, polityczne i beletrystyczne, a wiele z nich posiada nieposlednią wartość literacką, że wymienimy tylko prace Lucyana Rydla, ks. profesora Trzcińskiego, dra Witolda Skarżyńskiego, Józefa Kościelskiego, hr. Maryi Szembekowej i inne. Szlachetny cel wydawnictwa powinien „Noworocznikowi“ zjednać jak najwięcej nabywców.

Wszyscy dziś wiemy, jak trudną jest walka o byt w zawodzie dziennikarskim, jak ciężkiem jest życie na tym wysuniętym posterunku. Kiedy po długich latach znojów moralnych i fizycznych dziennikarz zapragnie wypoczynku, na który sobie rzetelnie zasłużył, nie ma środków, aby wieczór życia spędzić bez troski o jutro. Tym stosunkom zapobiedz ma kasa emerytalna, którą zakłada Towarzystwo dziennikarzy, na ten cel przeznaczony jest dochód z „Noworocznika.“

„Noworocznik“ nabywać można we wszystkich księgarniach w Poznaniu po cenie 1,50 mrk. za egzemplarz z przesyłką 1,70 mrk., albo od panów Karola Rzepeckiego, Poznań, Rycerska 38 I. i sekretarza Towarzystwa Józefa Goździewicza, Poznań, ulica Kopernika 4 b. parter. „Noworocznik“ powinien znajdować się w każdym szczerze polskim domu.

* **Odezwa!** Kursor Tow. Wyborczego na Poznań obchodzi teraz część miasta położoną po prawym brzegu Warty, a więc Chwaliszewo z przyległemi ulicami, Tumski plac, Zagórze, Śródkę z przyległemi ulicami, Zawady i Miasteczko.

Upraszamy szanownych wyborców tamże mieszkających, a członków naszego Towarzystwa, ażeby składki wyborcze chętnie mu wręczali. Kursor jest także upoważniony do zapisywania kandydatów na członków.

Zarząd Towarzystwa Wyborczego na miasto Poznań.

Józef Kużaj, prezes. St. Chociszewski, sekretarz.
M. Powidzki, kasyer.

* **Na głodnych Rodaków** w Królestwie Polskiem złożyli na ręce posła dra. Niegolewskiego: Dr. Kapuściński 20 mrk., z redakcyi „Postępu“ zebrane u gospodarza Jana Bąka w Złotowie 11,50 mrk., A. Łucka ze Stanisławowa 1 mrk., Tow. przemysłowe w Śremie 50,05 mrk., przez ks. Dykiera z Buku od pewnej kobiety wiejskiej 1,50 mrk., B. Chrzanowski 10 mrk., zebrane przy kolacyi w Bazarze 36 mrk., razem 130,05 mrk.

Suma ta, wynosząca 59 R. i 70 kop. wręczoną została „komitetowi narodowemu dla głodnych“ do rąk p. Zofii Bukowieckiej w Warszawie.

Dr. F. Niegolewski.

* **Niebezpieczne nuty.** Pan Eibich z Poznania otrzymał z Ameryki nuty do pieśni „Boże coś Polskę“ na cytry. Dowiedziała się o tem policya, więc, aby ratować „faterland“ od zagłady, zabrała większą część przesyłki. Poznańska zaś izba karna zawyrokowała zabranie całej przesyłki. Niebezpieczne więc nuty będą zniszczone.

* **„Prusak, mówiący po polsku.“** Taki dziwoląg w dzisiejszych czasach walki narodowej — to chyba rzadkość, a jednak się znachodzi. *Jan Witkowski,* sołtys i zarazem urzędnik stanu cywilnego *w Główinie,* mający do zastępstwa także sekretarza *Polaka* zapisuje *nazwiska* żeńskie polskie z męskiemi końcówkami. W obec tego pisze akuszerka p. Roz. Perkowska do „Wielkopolanina:“

„My nie damy sobie naszych najpiękniejszych świętych polskich imion i nazwisk przekręcać, hańbić! Na hańbę, na pogardę zasługuje każdy Polak, który frymarczy swemi skarbami, frymarczy tem co mu powinno być najdroższem! frymarczy swojem imieniem, własnością, a nareszcie duszę oddaje temu, który na nią z pazurami czeka!“

Słusznie. Niech jednak dotknięci samowolą p. W. i jego sekretarza udają się z zażaleniem do władz wyższych, inaczej poprzekręcane nazwiska pozostaną w księgach stanu cywilnego — na zawsze.

* **Wiec wyborczy.** Dnia 29 kwietnia odbędzie się wiec wyborczy w *Łubiszynie* na sali pana Janiszewskiego o godzinie 3 po południu, na którym przemawiać będzie poseł nasz pan Leon Czarliński. *Komitet.*

* **Dla piecownika** stosowną możemy polecić miejscowość dla zdobycia sobie egzystencyi. Zgłoszenia prosimy pod adr. *Eksped. „Praca“ — Poznań—Posen.*

* **Strajk murarzy poznańskich** dotąd nie został ukończony. Projekt dalszej walki socyalistów jest ten, że nieżonaci murarze mają Poznań opuścić, ażeby sobie poszukać pracy i chleba, żonaci mają trwać w uporze aż do ustąpienia przedsiębiorców budowlanych. Strajkujący podwyższają nawet swoje pretensye i żądają wynagrodzenia za godzinę 52 do 55 fenygów. Przedsiębiorcy o takich warunkach słuchać nie chcą. Jak długo w takich warunkach strajk potrwa jeszcze, na razie nie wiadomo.

To jednak wiadomo, że im dłużej on trwa, tem więcej tracą na nim i murarze i społeczeństwo. Wyliczono już nawet straty te w następujący sposób: Liczba strejkujących przed świętami wynosiła około 1000; każdy zarabiał przeciętnie 30 marek; po trzech tygodniach strajku stracili strajkujący, licząc na tydzień 30,000 mrk. straty, *90,000 mrk.* Stopniowo suma ta rość będzie, tak, że strajkujący strat swych nie powetują ani za kilka lat. — Taki mają na strajku zysk sami murarze, a ile na tem straci nasz handel i przemysł?

* **Germanizacya kresów** robi szalone postępy. Na dowód tego podajemy następujące szczegóły z *Wielenia* (Filehne). Ignatz Galikowski, piekarz ma żonę Niemkę; właściciel handlu obuwia Rybak pisze się w firmie „Peter“, to samo blacharz Kowalski — „Franz,“ powroźnik R. Hoynotzki przekręcił swoje nazwisko z niemiecka. Rodzina Ordzyńskich zniemczyła się i nazywa się *Losynski.* Jest tu 6 rodzin nazwiskiem *Kocia,* wszystkie zniemczone, a przyczynił się do tego eksksiądz *Kruszka,* który teraz jest w Ameryce. Rozrzucał on tutaj swego czasu broszury wolnomularskie. — *Dzieci prawie wszystkie zniemczone!* — Jak wobec tego wygląda przyszłość kresów naszych?

* **Parafia X nie istnieje.** Dziwny napis, ale bo też i rzecz sama w sobie dziwna. Oto fakta. Przed 30-tu laty — pisze pewien ksiądz do „Dziennika Kuj.“ przechrzcił „człowiek wyższej kultury“ wioskę swoją na Y. Władza duchowna wydała w październiku r. z. rozporządzenie, aby dozory kościelne u swego sądu okręgowego stawiły wnioski o założenie foliów hipotecznych dla wszystkich gruntow kościelnych. Parafia X wniosek stawiła mając wyciągi z urzędu katastrowego i poświadczenie landrata, że od 44-ch lat posiada już swoje grunta. Sąd okręgowy wniosek odrzuca, uzasadniając krok ten tem, że *miejscowość X nie istnieje.* Ponieważ miejscowość X nie istnieje, więc i parafia X nie istnieje również! — Oto skutek chrztów pruskich. Dziedzic przezywa kulturnie wioskę swoją i maże równocześnie parafię, składającą się przecież nie z jednej lecz z kilku wiosek z pośród ist-

niejących. Zatarg to istotnie ciekawy, tem ciekawszy, że urzędy inne, pozasądowe — parafią X uznawały za istniejącą. Jaki będzie wynik tego zatargu?

* **Ważny wyrok.** Redaktor wychodzącego w Wrocławiu pisma socyalno-demokratycznego „Volkswacht“ Franciszek Kühs został wyrokiem sądu ławniczego z dnia 28-go lutego rb. na mocy § 360 11 prawa karnego, zasądzony na grzywnę 30 marek za rzekome dopuszczenie się „grubej swywoli“. Umieścił w swojem piśmie: „Volkswacht“ odezwę do robotników, wzywając ich, aby omijali kilka bliżej oznaczonych lokali restauracyjnych, ponieważ właściciele ich odmawiali sal do zebrań partyi socyalistycznej. — Przeciwko powyższemu wyrokowi zasądzony i prokurator założył apelacyę. Atoli sąd drugiej instancyi oddalił prokuratoryę ze skargą i uwolnił oskarżonego na mocy wyroku sądu rzeszy z roku 1893, motywując swój wyrok, że wprawdzie redaktor „Volkswachtu“ dopuścił się „grubej swywoli“ przez zaniepokojenie oberzystów, lecz skarżący nie udowodnił, że *zaszło zakłócenie porządku publicznego.* — Ciekawiśmy bardzo, kiedy sądy podobne wyroki zaczną wydawać i w sprawach polskich...

* **Gniezno.** Pan R. Majerowicz, główny agent pisma naszego na Gniezno, zaniemógłszy ciężko, poddać się musiał operacyi. Niebezpieczeństwo najgorsze minęło; mimo to będzie mógł p. Majerowicz dopiero po niejakim czasie powrócić do zwykłych zajęć.

Panu M. życzymy szybkiego powrotu do zdrowia.

* **Gniezno.** Ponieważ władza nie potwierdziła niedawnego wyboru panów dr. Tomaszkiewicza i majstra tokarskiego Wierbińskiego na członków katolickiego dozoru szkólnego w Gnieźnie, przeto w czwartek 19-go b. m. odbył się ponowny wybór. Wybrano Polaków z niemieckiemi nazwiskami: Fragsteina i Maya. — Pisma hakatystyczne uprzedzają jednak władzę, że są oni Polakami. Cel tej denuncyacyi jest zbyt przejrzysty. Chodzi o to, by i ci panowie nie otrzymali urzędowego zatwierdzenia. Czy denuncyacya ta odniesie skutek, przesądzać trudno.

* **Śrem:** Pan A. Zwierzchowski pobudował tutaj niedawno budynek fabryczny. Policya udzieliła na budowę tę konsensu. Potrzeba jednakże obok fabryki domku dla stróża i na biuro. Policya konsensu na ten domek udzielić nie chce, zastawiając się „nowelą osadniczą.“ Skarga do wydziału powiatowego nie odniosła skutku. Pan Z. zdecydowany jest prawa swego dochodzić przez wszystkie instancye, fabryka bowiem stoi jeszcze w śródmieściu i domek obok niej postawiony nie może być uważany za nową „osadę.“ — Istna szykana.

* **Kościan.** W wyborach do rady miejskiej zwyciężył Polak — p. Piotr Łopiński, dyrektor banku parcelacyjnego. Polacy szli do wyborów zgodnie. Według informacyi naszych głosowali na p. Ł. nawet przeciwnicy jego. Rozdwojenia więc nie było.

„Gaz. Polska“ donosi, że i w Kościanie z początkiem nowego roku szkolnego zniesiono w szkole tamtejszej *naukę religii w języku polskim.* Skutkiem tego ks. proboszcz dr. Swrzyński wniósł do władzy duchownej protest opatrzony licznymi podpisami rodziców polskich. Akcyę tę wdrożono bez rozgłosu.

W sprawie tej zabieraliśmy już głos. Naszem zdaniem nie dość wnieść protest po cichu, należy także sprawę tę omówić publicznie. Bo znoszenie nauki polskiej, to nie jest sprawa wyłącznie obchodząca rodziców, władzę duchowną i kościelną — ale obchodzi ona żywo całe społeczeństwo.

* **Woisztyn.** Na zebraniu tutejszej filii „Ostmarkenferajnu“ zaszedł ciekawy wypadek. Donosi o tem babunojski orędownik, mianowicie, że przewodniczący filii *oburzał* się na to, że w ubiegłym roku zgłosili się członkowie do zarządu o pożyczkę w sumie 10 000 marek, podczas kiedy dochód w całym roku wynosił tylko — 94 mk. Dalej oświadczył przewodniczący, że główny zarząd „Ostmarkenferajnu“ otrzymał w ubiegłym roku prośb o pożyczki i wsparcia na — *3 i pół miliona marek* (!!), podczas kiedy zebrano w tymże czasie zaledwie 80 000 marek. To też karcił przewodniczący — rektor szkolny Jerke, że członkowie „Ostmarkenvereinu“ chcą tylko mieć korzyści z niego, a ofiar nie chcą ponosić. Nadmienić należy, że filia wolsztyńska liczy 74 członków. Jakże mizernie wobec tej liczby wygląda składka 94 marek!

Wogóle notatka ta robi wrażenie, że członkowie „Ostmarkenferajnu“ uważają swoje towarzystwo za — dojną krowę. Chcieliby z niej jak najwięcej skorzystać, lecz najmniej dla niej poświęcić. — Taki to już patryotyzm — hakatystów!

* **Oborniki.** Tutejszy mistrz rzeźnicki p. *Adamski,* który przychwycił zbrodniarza Rosińskiego, który uciekł z poznańskiego więzienia wojskowego, odebrał bezimienną pogróżkę z Berlina, że zostanie zamordowany zanim Rosiński odda głowę swoją pod topór. Fachowa „Allg. Fleischer Ztg.“ podaje tekst tej pogróżki, która brzmi: Du elender polnischer Hund, Du Denunciant, wir geben dir unser Ehrenwort bevor Rosinsky hingerichtet wird, bist Du Lausehundt todt. — Ostatni wyraz jest dwukrotnie podkreślony. Widocznie i rzezimieszki mają zasady — solidarności.

* **Wschowa.** Z Brenna w powiecie wschowskim donoszą do „Gazety Polskiej“, że główny nauczyciel pan Schultz odpowiedział na wniosek pana Fórmanka, mistrza piekarskiego, o udzielenie dzieciom jego nauki języka polskiego, że odnośny *reskrypt ministeryalny do szkoły w Brennie nie może być zastósowany.* — Wyraźny w tym wypadku jest akt samowoli. Wobec nadchodzących ze wszech stron podobnych wiadomości poruszą sprawę tę niewątpliwie posłowie nasi w sejmie.

* **Inowrocław.** *Marcin Adamski,* robotnik z Topoli pod Inowrocławiem, liczący około lat 50, udał się w poniedziałek, dnia 12-go marca do Inowrocławia w celu rewizyi lekarskiej do powiatowego fizyka, chcąc uzyskać państwową rentę inwalidzką. W jaki sposób i w jakiem towarzystwie powracał do domu, dotąd nie wiadomo; dość, że dopiero następnego dnia rano, t. j. we wtorek przybył do Topoli w okropnym stanie, poraniony i opuchły na twarzy, w ubraniu pobrudzonem, nie mogąc wymówić ani słowa kto go tak pobił i gdzie i kiedy go napadnięto, gdyż był bezprzytomnym prawie. Sprowadzony lekarz również nie mógł się od niego dowiedzieć przyczyny zagadkowego stanu, w którym wrócił z miasta. Odwieziony później do lazaretu w Inowrocławiu, po tygodniu zakończył życie, nie odzyskawszy mowy. Adamski pozostawił żonę i kilkoro dzieci.

Szanownych czytelników naszych, którzy znają może przypadkowo jakie bliższe szczegóły tej zagadkowej sprawy, a więc, jeżeli może wiedzą lub widzieli, w jakiem ś. p. Ad. był wtenczas towarzystwie, lub z kim powracał do domu, z kim może przebywał, w jakiej oberży i t. p., coby może przyczyniło się do wykrycia sprawców domniemanej zbrodni, upraszamy o natychmiastowe doniesienie o tem do policyi w Inowrocławiu.

***Z Bydgoskiego** donoszą „Wielkopolaninowi,“ że władza miarodawcza przesłała landratom pismo, w którem wzywa ich, by za przykładem Towarzystwa strzeleckiego w Poznaniu, przystąpili do wzmocnienia żywiołu niemieckiego, to znaczy do zniemczenia Towarzystw strzeleckich w W. Ks. Poznańskiem.

Gdyby na ten cel potrzebowano pieniędzy, wtedy landraci takowe otrzymają. W miejsce przysięgi — zaleca władza miarodawcza, aby członkowie składali przyrzeczenie, iż tak w Towarzystwach, jak i po za niemi starać się będą o wzmacnianie żywiołu niemieckiego na wschodzie. — Zobaczymy jak wiadomość tę przyjmą Tow. strzeleckie. Społeczeństwo dotąd nie ma przekonania, by się one odznaczały wyraźnym charakterem polskim. Przeważnie są to tow. bezbarwne. Tu i owdzie Polacy są w większości. Tam niech przynajmniej zabezpieczą sobie — rolę kierowniczą.

* **Gniewkowice.** Do tutejszej szkoły katolickiej uczęszczają same prawie dzieci polskie. Pomimo to niedbali ich rodzice nie stawili wniosków do nauczyciela, ażeby ich dzieci uczono po polsku i dla tego odrobiny tej nauki, jakie jeszcze rząd pruski dla najmłodszych dzieci pozostawił, z nowym rokiem szkólnym ustają.

Przykład ten dowodzi, że tam gdzie nie znosi nauki — władza, nauta zanika z powodu niedbalstwa i ciemnoty rodziców. Póki jeszcze my sami będziemy kręcić bicz na własną skórę?

* **Koronowo.** „Germania", organ główny katolików niemieckich pisze: „Donoszą nam z Koronowa co następuje: W wielki piątek ludzie przybyli z Buszkowa, kolonii komisyi kolonizacyjnej, opowiadali w mieście, że zarządca z Buszkowa *zakazał* im kupowania *w handlach katolickich*, a nakazał nabywanie potrzebnych towarów jedynie u *ewangelików*.

Właściwie to w tem nic dziwnego, bo i my uważać jesteśmy zwykli germanizacyę za protestantyzacyę. Żeby jednakże komisya kolonizacyjna posuwała się aż do bojkotu katolików na polu zarobkowem — to bądź co bądź nowość, która mamy nadzieję nie przysporzy jej przyjaciół w odnośnych kołach.

* **Lubawa** (Prusy Zachodnie). W tych dniach — pisze „Gazeta Grudziądzka" — pojawili się w Lubawie dwaj mankietnicy, którzy, chodząc po chatach na przedmieściach, usiłowali zjednywać zwolenników dla swej sekty, lecz wszędzie ich za drzwi wypędzono.

Tutejszy ks. proboszcz, dowiedziawszy się o tem, ostro napominał i przestrzegał swych parafian przed tymi heretykami. — Z Lubawy odeszli z niczem, mogą jednak w sąsiednich parafiach swą niecną robotę rozpocząć. — Przestrzega się zatem Rodaków przed owymi niebezpiecznymi ludźmi. Należy więc mieć oczy otwarte na każdego nieznanego przybysza.

* **Pelplin** (Prusy Zach.) Niebywały na czasy dzisiejsze zaszedł tutaj wypadek. W radzie miejskiej postawiono wniosek o udzielenie zapomogi mrk. 100 pismu niemieckiemu „Dirschauer Ztg.", aby pismo to dla Pelplina z osobnym mogło wychodzić napisem i to „Pelpliner Zeitung." W radzie miejskiej zasiada kilku Polaków, i to właśnie jest niebywałe, że i ci Polacy głosy swoje łącznie za wnioskiem oddali. Wiadomość ta obeszła całą naszą prasę, a na głowy tak wyraźnych nie-patryotów posypały się różne przymiotniki. Nie dość tego. W niedzielę ubiegłą zebrał się wiec i energicznie przeciwko takiemu postępowaniu — *zaprotestował*, wyrażając owym radnym Polakom swoje wotum nieufności. Zwykle po takiem wotum wybrańcy ludu składają swoje urzędy. Ciekawi jesteśmy, czy też odnośni panowie postąpią sobie według zasad ogólno-światowych.

* **Wybory w Bytomsko-Tarnogórskiem** odbędą się na początku czerwca. Termin dotąd nieznany. Jedni podają dzień 6-go, inni dzień 12-go czerwca. Dokładny termin ogłoszony zostanie przez komisarza wyborczego, którym mianowany jest landrat tarnogórski hr. Limburg-Stirum.

Polski komitet wyborczy wydał już odezwę za p. *Adamem Napieralskim.* Narodowcy, jak tego dowodem korespondencye do różnych pism, z kandydaturą tą już się pogodzili i pragną teraz, by jak najwięcej nań padło głosów. Chcą przez to jak najgorręcej zamanifestować — zwycięstwo narodowej idei na Górnym Śląsku.

* **Recklinghausen Süd.** (Westfalia). Jak się dowiadujemy, kupił pan Jan Kwiatkowski z Herne mocą kontraktu notaryalnego istniejący tu od dwóch lat handel mebli i wypraw od pana Szłapki za 11 350 mk. Przejęcie nastąpi 1-go maja. Sądząc z dotychczasowej wytrwałej działalności kupieckiej p. Kwiatkowskiego, spodziewać się można, że stawi skutecznie czoło obcej konkurencyi, która zwłaszcza w tej branży wyzyskuje nieraz lud polski na obczyźnie. Nowonabywcy Szczęść Boże!

* **Drukowane formularze** ma prezes regencyi bydgoskiej do odpowiadania na wnioski o koncesye osadnicze. Widocznie odrzucanie tych wniosków odbywa się — masowo. Donoszą też do „Lecha," że regencya bydgoska uważa wszystko za osady, co nie leży w środku wsi lub miast. Czy tak tego chciała „nowela osadnicza?"...

* **Szanownym** czytelnikom zwracamy uwagę na dzisiejsze ogłoszenie Domu Bankowego Drwęski i Langner (Marcin Biedermann) w Poznaniu — z którego czytelnik ma sposobność poinformowania się o rozległej a dodatniej działalności zaszczytnie znanej firmy, istniejącej bez przerwy w Poznaniu już z górą przeszło 30 lat, a więc przeszło ćwierć wieku! — Sam fakt długoletniego istnienia przemawia za firmą, którą też sumiennie polecić możemy. Nie potrzeba więc przy sprzedaży majątku wyciągać ręki do komisyi kolonizacyjnej lub landbanku, ani też oglądać się za nabywcą obcym — gdyż mamy w tym zakresie firmy polskie, zasługujące na zaufanie, a które, chociaż nie rozporządzają tak potężnemi kapitałami jak rząd — to jednakowoż obrotnością i umiejętnością swą śmiało i ze skutkiem stawiają czoło przeciwko potędze kapitału wrogiej strony.

Szczęść Boże dalszej pracy w dotychczasowym kierunku!

* **Skład obuwia** *R. Koczorskiego* przy Starym Rynku 78 (w pałacu hr. Działyńskich) polecamy względom Szanownych Czytelników; można się tam zaopatrzyć w dobre i tanie obuwie.

Od Redakcyi.

— *Celinowi*: Radzimy brać na apetyt i pozbyć się smutku i ponurych myśli, a może Panu i chęć do wierszowania odejdzie. Szkoda bowiem dobrej chęci wzbijania się „do chmur w góry" — kiedy skrzydeł nie ma.

— *Ego.... w Ostrowie.* Umieścimy.

Panu St. K. w miejscu. — Notatek bez podpisu nie zamieszczamy.

— *Panu Janowi Kędziorowi jun. w Grzawie G. Śl.* Serdecznie dziękujemy za słowa uznania. Widzimy w nich zachętę do dalszej wytrwałej pracy na raz obranej drodze.

Wcel. Do oszacowania podatkowego zobowiązani są ci, co mają dochodu nad 3000 mrk. Jeżeli jednakże komisya Pana zawezwała, by się Pan sam oszacował, to radzimy komisyi złożyć dowody, że Pan dochodu 3000 mrk. nie ma. Inaczej będzie Pan miał korowody długie i nieprzyjemne.

Co do mianowania wykonawcy testamentarnego radzimy Panu zasięgnąć informacyi w sądzie, albo u adwokata. Sprawa tak, jak nam ją Pan przedstawia, nie jest dość jasna, a odpowiedzialności za ew. procesy mogące wyniknąć z powodu spadku pomiędzy spadkobiercami — brać nie możemy na siebie.

Nadzwyczajny dodatek do nr. 17-go „Pracy."

Mowa posła Macieja hr. Mielżyńskiego

wygłoszona w sobotę 31-go marca w parlamencie niemieckim.

(Dokończenie.)

Pobitych jenerałów i ich żółtych zwycięzców obdarza się orderami, świat cały niepokoi się dla nienaruszalności władzy egzotycznych sułtanów. Przy najmniejszej krzywdzie dalekiego niemieckiego kolonisty, posyła się okręty i działa, a własnych obywateli traktuje się jak... nieprzyjaciół.

Z wewnątrz kraju padają gorące promienia łaski na najrozmaitsze osobistości, tylko nas wyklucza się z pod praw obywatelskich!

Kto przez długie lata sumiennie wypełniał obowiązek polakożerczy, na starość co najmniej ekscelencyą zostaje.

Mówi się już o udzielaniu szlachectwa tym Niemcom, którzy w Księstwie fideikomisy założą.

Ponieważ mówię o szlachectwie, chciałbym słówko powiedzieć p. Beblowi, który mówiąc o nadaniu szlachectwa pp. Karo i Friedlaenderowi, twierdził, że ze swego stanowiska jako demokrata, cieszy się bardzo, iż szlachectwo teraz tak taniem się stało. Mylisz się pan, panie Bebel, pp. Friedlaender i Karo — drogo za szlachectwo zapłacili. (Wielka wesołość!) Zresztą nobilitowania ich zazdrościć im nie potrzeba, bo trzeba porządnej porcyi gruboskórności, której naturalnie tym panom nie suponuję, żeby w tej nowej skórze czuć się szczęśliwym.

Jak dziwnie wobec tylu niezasłużonych objawów łaski wygląda wydalenie z wojska oficera, który śmiał zgrzeszyć przeciwko dogmatom hakatystycznej wiary. Przechodzę do innego punktu, mianowicie do znęcania się nad żołnierzami w ogólności. Przyznać tu trzeba bez ogródki, że pan minister wojny, o ile to zależy od niego, wszelkiemi siłami stara się usunąć z wojska tę plagę, która wstrętem i przerażeniem przejmować musi.

W jednym punkcie zgodzić się z nim nie mogę absolutnie, mianowicie, że usprawiedliwiał przyjęcie do służby wojskowej oficera karanego za ciężkie znęcanie się nad żołnierzami dla tego, że po odsiedzeniu swej kary wzorowo się prowadził. Mojem zdaniem taki człowiek nigdy przenigdy do służby wojskowej jako przełożony kwalifikować się nie może, choćby się jaknajwzorowiej później prowadził. (Bardzo słusznie!)

Jeżeli bowiem jakiego pucybuta, który coś przeskrobał, a wzorowo potem się prowadzi, przyjąć można na nowo, bo buty czyścić mógł i w cuchthauzie, to nigdy, przenigdy przełożonego, który nad ludźmi przewodzić i świecić im ma przykładem, bo zaufania utraconego nie odzyska napowrót, a łaska jemu uczyniona demoralizuje podwładnych. (Bardzo słusznie!)

Jedno oświadczenie pana ministra z radością przyjąć mogę i to apel jego do nauczycieli i wychowawców dzieci, żeby już u małych wykorzeniali wszelkie zachcianki do gwałtów i znęcania się nad jakiemkolwiek stworzeniem. Oby ten apel usłyszeli nasi bohaterowie kija (Knüppelhelden), którzy w naszych szkołach do krwi dzieci biją i niemiłosiernie się nad niemi znęcają dla tego, że w ojczystym przemawiają języku. (Zaprzeczenie na prawicy.)

Tak, tak! panie pośle Kardofie, jest to rzeczą niezaprzeczoną, przez rozprawy sądowe udowodnioną, że nauczyciele do krwi biją i znęcają się nad dziećmi polskiemi. Pomyślmy tylko o Piaseckiej w sprawie wrzesińskiej, którą na 2 lata więzienia skazano dla tego, że zelżyła nauczyciela, który do krwi pobił jej dziecko. (Wielka prawda! u Polaków). Tacy nauczyciele napewno nie pomogą do wyplenienia owej plagi znęcania się nad żołnierzami.

Wierząc w dobre intencye p. ministra wojny, chcę mu dać sposobność w innej sprawie rzucenia energicznego żołnierskiego słowa w obronie uciśnionych. Sprawa, o której myślę, nie należy specyalnie do zakresu p. ministra wojny, ale interesować go musi o tyle, że chodzi o inwalidę wojskowego.

Niejakiś inwalida kupił był sobie parcelę przed ogłoszeniem nowego prawa osadniczego, na tej parceli chciał budować dom, udał się do landrata po konsens budowlany i takowy został mu udzielony. Gdy dom był prawie skończony, prosił go landrat, żeby za drobny czynsz umieścił w domu swoim robotników landbanku. Gdy ci po pewnym przeciągu czasu dom jego opuścili, dostał — oznajmienie od władzy, że domu dokończyć mu nie wolno, ani w nim zamieszkać. — Gdy powołał się na konsens budowlany, oświadczono mu, że ten nie ma znaczenia, ponieważ koniecznem jest pozwolenie osiedlenia (Ansiedlungsgenehmigung). Na nic się zdały wszelkie protesty — pozwolenia nie dostał i przez to samo na ulicę został wyrzucony. (Słuchajcie, słuchajcie!)

Pomyślcie panowie, co się wówczas dziać musiało w sercu owego prostego człowieka — który nie bawił się w filozoficzne wywody, ani rozmyślał nad wysoką polityką i racyą stanu, ale w prostym swoim języku powiedzieć musiał: tak, używacie nas jako „kanonenfutter" w wojnach, posyłacie nas na pierwszy ogień (a wszyscy wiedzą, jak dobrze bili się polscy żołnierze w wojnie!), ale gdy chodzi o najprostsze prawa ludzkie i obywatelskie, o zabudowanie się i zamieszkanie na ojczystej własnej glebie, to nas jak bydło wyrzucacie na ulicę! (Wielka prawda! u Polaków!)

Dzięki Bogu zaczyna się już dzisiaj budzić ze wszech stron reakcya przeciwko niesprawiedliwości i nieszczęsnej polityce antypolskiej — ze wszech stron Niemiec dochodzą głosy protestu.

Niedawno na zebraniu wolnomyślnych w Poznaniu powiedziano, mówiąc o „ostmarkenferajnie" i jego wstrętnej robocie: „Największy czas, abyśmy się tej bandy pozbyli".

Jest też rzeczywiście czas — żeby wszyscy przeciwko tej polityce się obrócili, bo środki, któremi walczą hakatyści przeciwko nam, przechodzą wszelkie granice obrzydliwości.

Czyż nie doszło do tego, że taki p. sekretarz pozwolił sobie na publicznem zebraniu w katolickiem mieście nad Renem oświadczyć, że największym burzycielem polskim jest ks. arcybiskup Stablewski!

Marniejszej i ohydniejszej kalumnii wystawić sobie nie można!

Myślę, że panu ministrowi wojny chyba najwięcej na tem zależeć powinno, żeby takie stosunki w armii się nie szerzyły. Sądzę, że wyrazić mogę przekonanie, iż i tam powie energiczne słowo, zkąd jedynie naprawa przyjść może.

(Ogólne brawo — ze wszystkich stron Izby).

(Znamiennem jest, że prawie wszystkie stronnictwa przytakiwały wywodom mówcy. Red.)

DZIAŁ POWIEŚCIOWY.

Maryan Jastrzębiec.

Nim wzejdzie dzień...

Powieść na tle wypadków Królestwa Polskiego 1905 r.

7) (Ciąg dalszy.)

Tu nastąpiło znowu znaczące spojrzenie, zatrzymane na pięknych, marzących oczach studenta.

— Marychnę też namawiam, żeby się bawiła. Był bal u Oberheimów, daje tam lekcye, prosili ją; namawiam: pójdź, suknię z wesela Cesi masz, wydatek będzie paru rubli zaledwie, a zabawisz się, jak na twój wiek przystało. A ona: jak się bawić w takie czasy! Fiksatka! Co za czasy? Że Moskale biorą cięgi — tem lepiej dla nas. Że raz i drugi przetrzepali skórę tym wszystkim socyalistom, komunistom, anarchistom, studentom i feministkom, to daj Boże zdrowie tym, co bili.

— To dla pana student jest jednoznacznem pojęciem z anarchistą i feministką? — rzekł śmiejąc się ze zestawienia Tadeusz.

— I byłby tatuś rad, żeby poczciwego pana Tadeusza byli poturbowali? — pytała wesoło Marychna.

— Jak Boga kocham, że tak. Pan Tadeusz jest materyał na porządnego człowieka, ma i serce i głowę, ale w tej głowie nagromadziła się obok ziarna masa plew i te dobrze byłoby wytrzepać, bo tłumi wzrost ziarna.

— Ej, tatusiu i bez tej operacyi będzie śliczny plon z duszy pana Tadeusza, — odezwała się Marychna, mimowoli ogarniając go ciepłem, serdecznem spojrzeniem.

— Będzie plon, będzie, jeżeli go myszy w cytadeli nie stoczą, albo mrozy sybiryjskie nie zwarzą.

— Ej tak źle nie będzie, proszę pana! Ja się pod szczęśliwą gwiazdą urodziłem.

— Mnie, bo pana żal, panie Tadeuszu, jak Boga kocham żal. Mógłby z pana być porządny obywatel kraju, a marnuje się pan umyślnie.

— Mój Boże, pan o mnie zwątpił. Więc nie będą ze mnie ludzie?

— A przecie, że nie! Te wasze prace nad ludem, nad robotnikiem, to zguba kraju. Od czasu, jak zabraliście się do tej roboty, rozwielmożniło się nożownictwo, złodziejstwo, otwarty rozbój!

— Horrendum! bierze pan przyczynę za skutek! Przecie te straszne strony naszego społeczeństwa to właśnie brak cywilizacyi. Dlaczego takie rzeczy nie są na porządku dziennym w kulturalnych państwach? dlaczego...

— Nie zawracaj pan głowy! — przerwał gwałtownie gospodarz. — Ten strejk, to wasza robota, te zabójstwa uliczne, to drażnienie wroga czerwoną płachtą!...

— Ależ na miłość Boską, ja nie jestem socyalistą. Ja walczę z socyalizmem!

— Jesteś młody! Wszyscyście po jednych pieniędzach! Za moich czasów młodzież się uczyła, pracowała, wychodziła na ludzi. A dziś co? Smyk ledwie od ziemi odrósł, już polityk, działacz! Oświecać lud! oświecać klasy robocze! A z tego co? Złodziejstwo, nożownictwo, bezrobocie, ojcobójstwa, dzieciobójstwa, obraza Boska! I nie może być inaczej. A to wszystko dlatego, że nie chce wam się uczyć, tylko działać, czyli próżnując udawać wielkich ludzi! Żebym wiedział, że mój syn, albo córka bawią się w oświatę, to jak Boga kocham sam oddałbym w sołdaty, a dziewczynę do klasztoru...

Zaniósł się gwałtownym, astmatycznym kaszlem. Marychna nachyliła się nad nim, podając szklankę mleka.

— Tatuś unosi się niepotrzebnie. Niechże tatuś napije się mleka.

Odtrącił ją, schwycił dzwonek ze stołu i począł potrząsać nim gwałtownie. Niemłoda służąca weszła do pokoju.

— Tomaszowo, idę spać.

Nic nie mówiąc, z nadąsaną miną, ujęła poręcz fotela, kierując go do drugiego pokoju. We drzwiach kaleka odwrócił się raz jeszcze.

— Niech tu pan nie próbuje namawiać dziewczyny na waszą wiarę, bo to strata czasu, moje dziecko żadne...

Tomaszowa nie czekając końca zdania, wtoczyła wózek do drugiego pokoju i zatrzasnęła drzwi za sobą. Tadeusz i Marychna czas jakiś siedzieli w milczeniu. On gorączkowo gryzł wąsy, ona wsparła czoło na splecionych rękach i patrzała w talerz. Tadeusz pierwszy przerwał milczenie.

— Pani codzień wysłuchuje takie... kazania?

— Prawie.

— Dlatego tyle łagodności i słodyczy maluje się w twarzy pani, wyrobiły je okoliczności, w jakich pani żyje.

— Ja nigdy nie byłam gwałtowną, wzięłam trochę łagodności za mamą, która była aniołem dobroci, to też łatwiej przychodzi mi stosować się do usposobienia ojca. Ale Artur... żal mi go bardzo. Z wesołego dziecka stał się ponury, zamknięty w sobie... Zabija się pracą, bo i do nauk nie bardzo zdolny i tyle obowiązków społecznych bierze na siebie... Najgorsze to, że oboje musimy kłamać, ciągle kłamać.

— W pani warunkach tyle działać to już wchodzi w granice bohaterstwa.

Roześmiała się szczerze.

Zły z pana psycholog. Dogadzam tylko własnemu upodobaniu. Tu mi duszno i nieswojo. Tam przy pracy oddycham.

— Ile teraz ma pani lekcyi dziennie?

— Płatnych trzy.

— A darmo?

— Pięć.

— Osiem godzien to dużo, strasznie dużo na pani siły. To też zmizerniała pani bardzo.

— Ba, poznał mnie pan, gdym wracała z wakacyi, wypasiona na mleku, grzybach i miodzie litewskim.

— Tak bym pragnął... żeby przyszłe wakacye... Tak bym chciał, żeby pani poznała się z siostrą moją, Wandzią... Dzielna dziewczyna, nie taka jak pani, o daleko do tego, ale dobra, sympatyczna. pani pozwoli, że ją przyprowadzę tutaj jak przybędzie do Warszawy?

— Ah nie!

— Nie?!

— To jest owszem. Bardzo byłoby mi miło poznać siostrę pana, ale... tutaj... Pewnie przyzwyczajona jest do wykwintu...

— Broń Boże, u nas dom prowadzi się skromnie, a zresztą ona nie patrzy na ramy, tylko na obraz, a pani jest takim... wdzięcznym obrazem! Zresztą co pani chce od

tych ram? Żebym całe życie miał takie dwa pokoje z kuchenką i z panią domu podobną do pani.

Zmieszali się oboje.

— Może pan pozwoli jeszcze herbaty?

— Jeżeli pani łaskawa.

— Co pan robi jutro wieczorem?

— Mam konferencyę na Rybakach.

— Z robociarzami?

— Tak.

— Ogromnie pracują socyaliści nad wywołaniem rozruchów rewolucyjnych.

— Wobec wypadków petersburskich nie uda nam się nie dopuścić do nich. Idzie tylko o to, żeby jak najsłabsze przybrały rozmiary.

— Szkoda, że nie jestem mężczyzną.

— Ja się z tego cieszę.

— To niesłusznie; gdybym była mężczyzną pracowałabym bliżej pana i mogłabym n. p. jutro po konferencyi spędzić z panem kilka godzin w jakiej kawiarni.

— Konferencya skończy się koło dziesiątej, mogłaby potem pani przyjść z panią Przewodzką do Nadświdrzańskiej.

— Oh , nie zna pan ojca? Toćby nie uwierzył, że mam lekcyę o 10-tej.

— A żeby tak urządzić fikcyjny wieczorek, którego ojciec pani tak pragnie dla niej? Zrobiłoby to przyjemność ojcu, pani i mnie... największą.

Marychna śmiała się serdecznie.

— To niezła myśl.

— No, proszę z niej skorzystać!

— Kiedy mam skrupuł tak kłamać nieustannie.

— Te codzienne kłamstwa pro publico bono wchodzą w dziedzinę cnót. A jutro skłamie pani przedewszystkiem dla mojej satysfakcyi, więc też nie będzie bez zasługi względem bliźniego.

— Strasznie mnie pan kusi.

— Już widzę, że nie odmówi mi pani.

— Nie wiem.

— Ale ja jestem pewien! Albo wie pani co? W kawiarni jest się tak obserwowanym, podsłuchiwanym, że doprawdy człowiek czuje się jak w klatce. Zrobię więc inny projekt. Urządzam piknik kawalerski! Pani Przewódzka będzie nam matkować, czyli przewodzić, nomen — omen. Pani raczy przyjść z Arturem, zaprosimy panny Stankowskie, Terenię Romaszko, no i odpowiednią porcyę studentów. Przyjęcie będzie niewykwintne, za to towarzystwo non plus ultra. Kapelę, humor, dowcip zamówię u odpowiednich firm. No, nie odmówi mi pani?

— Doprawdy, że powinnam....

— Ale nie mam ochoty.

— Tak!

— A zatem po co te konwenanse? Jutro o dziesiątej powitam panią u siebie. A teraz pożegnam ją, bo muszę przygotować się na jutrzejszą pogadankę, a nie chcę zadługo siedzieć, żebym nie zmizerniał, pragnę ładnie wyglądać w roli gospodarza. Zrobi pani ze mnie lalusia, troszczącego się o urodę. Zdaje mi się, że jutro będzie najpiękniejszy dzień mego życia. Dziękuję pani, dziękuję za przyjęcie zaproszenia.

Podniósł jej rękę do ust; zmieszana cofnęła ją czemprędzej. Byli już w przedpokoju.

— Pan w tak lekkiem palcie na to zimno, — zauważyła troskliwie.

— Ręczę pani, że będzie mi ciepło. Dała mi pani doskonały kożuszek swą obietnicą.

Na schodach spotkał się z gimnazyastą wysokim szczupłym, o dziwnie ponurej twarzy.

— Kolega z wiecu gimnazyastów?

— Tak jest.

— Cóżeście uradzili?

— Naturalnie strejk.

— Źle.... Mam do was prośbę.

— Przyjdźcie do mnie jutro z panną Maryą na piknik kawalerski z pannami.

— Skądże się wam to wzięło?

— Ha, człowiek tyle się napracuje, natrapi w te ciężkie czasy, trzeba się chociaż w swojem kółku zabawić.

— Racya... ojciec wie?

— Nie, teraz dopiero powstał ten projekt. Zresztą ojciec sam pragnie, żebyście się bawili, idzie tylko o to, że lepiej będzie, żeby nie wiedział, że to u mnie zabawa.

— Naturalnie.... młody!... Byłby pewien, że zbieramy się dla zrobienia bomby.

— A zatem obmyślcie u kogo wieczorek i przybywajcie punkt o 10-tej.

— Dobrze. Do widzenia.

— Do widzenia. Do jutra.

Artur otworzył drzwi z zatrzaska i wszedł do pokoju. Marychna stała przy oknie z twarzą przytuloną do szyby.

— Cóż taka poza Maryi po odjeździe Wacława?

Marychna drgnęła.

— Przestraszyłeś mnie. Nie lubię takich żartów.

— Przepraszam szanowną panią!... Cóż to Orczyński urządza piknik dla ciebie?

— Któż ci powiedział, że dla mnie?

— Tu powziął ten projekt.

— Także racya!...

— Ależ ja mu nie ganię tego ani tobie. Przeciwnie, porządny, bogaty, z dobrej rodziny.

— Co tobie przychodzi do głowy Arturze! Właśnie, że ma tyle dodatnich stron miałby żenić się ze mną! Już nie mógłby lepszej znaleźć! A zresztą po co on wogóle ma się żenić, a zwłaszcza tak wcześnie? On ma orle loty, więc nie powinien wiązać sobie kuli u nogi.

— Nie każda żona jest kulą u nogi.

— Ah, daj pokój Arturze! Idź do swego pokoju, chcę się położyć.

Artur uśmiechnął się pod ledwie wschodzącym wąsem i wszedł do pokoju ojca. Marychna zajęła się sprzątaniem ze stołu i urządzaniem posłania na otomanie, ale oczy zdradzały, że myśl jej błądziła daleko, daleko.

VIII.

Następnego rana pobiegł Tadeusz do Anieli, a złożywszy trzy ruble na stole, prosił, aby urządziła przyjęcie na 12 osób „obfite i szykowne“.

— Jeżeli coś więcej wydasz, to powiedz mi, zwrócę ci... później.

Pani Aniela wytargała brata za czuprynę, uśmiała serdecznie i zapewniła, że to aż nadto wystarczy. Jakoż przed wieczorem przyniosła służąca duży kosz z porcelaną i srebrem, a z tem multum szynki i pieczywa, kilka drobnych pakiecików z potrzebami na kanapki, masło, pomarańcze, winogrona, a nawet dwie butelki krymskiego wina. Tadeusza nie było w domu, zastępował go Witold, który z całem amatorstwem nietylko zajadał przysmaki, ale i zajmował się ich przyrządzaniem.

Punkt o dziesiątej zjawił się Tadeusz. Wpadł rozpromieniony, rzucił na etażerkę przy drzwiach manuskrypt zawierający treść pogadanki, oraz kilkanaście pozostałych

proklamacyi i zwrócił się do Witolda, który zasłonięty ręcznikiem z senatorską powagą przygotowywał kanapki.

— No, przysłała Anielka wszystko co potrzeba, — pytał ode drzwi.

— Ali reight.

— Poczciwy chłopcze! Co za wspaniałe kanapki, całkiem artystyczne! Daj pyska. Ten łajdak Gieniek przyjdzie tylko zjadać, ale nie pomoże nic.

— Nie szkaluj, bracie, a rozejrzyj się wkoło siebie.

— Łaboga! aleć zrobiliście z mojej nory buduar kokoty! To Sieniek tak urządził?

— All right.

Ściany obszernego pokoju zawieszone były tureckiemi szalami, makatami, z pośród których wyglądały różnorodne szkice malarskie: głowy, martwa natura, pejzaże. Podartą, z wychodzącemi sprężynami kanapę pokryto piękną kapą bizantyjską, stolik zaplamiony atramentem — słuckim pasem.

— Skąd on u dyabła wziął te sajety!

— Od kolegi Rzewuskiego.

— Tam do licha kolega Rzewuski kolekcyonuje?

— On nie, ale rodzice, a że teraz starzy siedzą na Rivierze, więc Gieniek go poprosił i pozbierał co ładniejsza okazy z salonów.

— Trzeba dobrze uważać, żeby nie zaplamić, albo nie rozedrzeć czego.

— Plam nie braknie na tem, tylko zdaleka takie wspaniałe.

Rozległ się dzwonek. Tadeusz zarumieniony jak panna biegł do drzwi, otwierając je drżącemi rękoma.

— Otwieraj-że prędzej, gamajdo, ręce mi pomgłały.

Wszedł Gienio, niosąc wielki wazon kwitnących chryzantem.

— A to co? kupiłeś?

— Nie ma głupich! Pożyczyłem od ciotki Narbutowej.

— A jak chryzantemy zmarzną skutkiem przeniesienia?

— To będzie żywiołowe nieszczęście. W każdym razie skutki okazałyby się conajwyżej jutro, dziś zaś upiększą apartament bardziej niż cokolwiekbądź.

— Gienku złoty, nieoceniony.

— Nie targaj mnie waryacie! Idź lepiej otwórz, ktoś dzwoni.

Przyszedł kolega Adler i Romanowski, tędzy chłopcy i nierozdzielni towarzysze, za nimi pani Przewódzka, jedna z najdzielniejszych głów kobiecych w Warszawie, z nią p. Teresa Romaszko, bardzo krzykliwa, bardzo wesoła i dobra dziewczyna, dalej dwie panny Stankowskie, znane z niebywałej zuchwałości, gdy szło o sprawy publiczne, w towarzystwie Zurakowskiego, ulubieńca kobiet, trochę fanfarona, ale inteligentnego i bardzo obiecującego młodzieńca. Wreszcie Uchnast, ogromny, barczysty chłopak słynny ze swego dowcipu i humoru.

— Czy jestem ostatnim jak przystało temu, co ma być koroną towarzystwa? — pytał wchodząc, obejmując spojrzeniem dość liczne zebranie.

— Nie, brak jeszcze panny Iżyckiej z bratem. Niepokoi mnie, że tak długo nie przychodzą; może nie udało im się oszukać czujności ojca.

— I tak nie będziemy się nudzić.

Tadeusz rzucił się i zrobił gest, jakby chciał powiedzieć: i po co ja to wszystko urządzałem!

Biło wpół do jedenastej, gdy rozległ się znów dzwonek. Tadeusz mocno zgorączkowany rzucił się drzwi otwierać.

— Cóż tak późno! — wołał, zaledwie ukazała się w nich otulona w rotundę postać kobieca.

Zdjął z niej okrycie. Była w białej sukni, przybranej wieńcem jaskółek. Oczy jej błyszczały zadowoleniem, starannie uczesana główka miała odcień hebanu.

— Ależ p. Marya jak na bal, — zawołała p. Przewodzka.

— Na czyjąż to intencyę ten galowy strój? — z odcieniem ironii pytała p. Stankowska.

— Przepraszam za niewłaściwe ubranie, ale dzięki temu jedynie mogę się tu znajdować. Ojciec mój jest człowiekiem starej daty; zebranie w mieszkaniu studenckiem uważałby za rzecz nieprzyzwoitą, a co więcej niebezpieczną.

— Musieliśmy przeto wymyślić coś bardzo lojalnego: tańcującą herbatkę u pp. Wurstmacherów! — dodał Artur.

— Szanowni państwo, skutkiem moich zajęć zebraliśmy się tak późno, to też sądzę, że wszyscy na równi ze mną są głodni jak wilki, proponuję zatem, żebyśmy zaraz zasiedli do herbaty.

— Bardzo słusznie, — zawołał Witold, — bo już mnie znudziło uspakajanie pana Żołąd-Kiszkowskiego, domagającego się swych praw wielkim głosem.

— Przy stole towarzystwo rozochociło się na dobre. Zachwycano się przyjęciem, wnoszono toasty, dowcipkowano i drażniono wzajemnie, wśród ciągłych wybuchów śmiechu.

Po kolacyi, na prośbę Tadeusza, Adler wziął wiolonczelę, na której grał nie tyle biegle, o ile uczuciowo i poetycznie.

Tadeusz siadł obok Marychny na niskim stołku, patrząc w nią z zachwytem; była zasłuchana, pierś jej falowała miarowo pod lekkim muślinem staniczka, przysłonięte długiemi rzęsami oczy i krótka górna warga, nie pozwalająca domknąć się ustom, nadawały jej wyraz wielkiego skupienia. Uczuł potrzebę zbliżenia do niej, instynktownie więc upuścił trzymany w ręku papier, tak, że upadł u stóp jej. Podnosząc otarł się o jej nogi i odczuł, że drgnęła nerwowo. Popatrzał na nią z dołu, nie odwróciła oczu, przeciwnie zatopiła je w źrenicach młodzieńca, jakby czekała na jakie zapytanie. Pytanie to padło — blade i banalne:

— Czy pani nie za gorąco?

— O gorąco tu bardzo.

Szybko złożył arkusz papieru na kształt wachlarza i podał go panience.

— Niech się pani wachluje.

— Dziękuję .

Adler grał legendę Wieniawskiego. Towarzystwo z wyjątkiem pani Przewódzkiej i Żurakowskiego, którzy zaszyci w framugę okna prowadzili cichą rozmowę o sprawach publicznych, słuchało w skupieniu.

Nagle Tadeusz szepnął:

— Panno Marychno.

Zdziwiona trochę tem zdrobnieniem, oczyma żądała wyjaśnienia.

— Jak się pani dziś czuje?

— Dobrze mi... i tak... miło.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Dwudziestoośmioletnie wygnanie
czyli
ucieczka moja z żoną i dwojgiem dzieci.
Zdarzenie prawdziwe z 1835 r.

13)

(Ciąg dalszy.)

Oboje z Albiną zauważyliśmy, że tajemnica o mojem ukrywaniu się przed matką Maryi, ciążyła bardzo tej ostatniej na sercu, ile razy bowiem w rozmowie z nami dotknęła się tej materyi, wzdychała tylko; — za tyle przeto dowodów przywiązania z jej strony, naradziwszy się poprzednio z Albiną, upoważniliśmy ją, ażeby o życiu mojem i matkę swoją zawiadomiła. Marya słuchała mię z pilną uwagą, lecz gdy doszło do tego, że jej matce o tem powiedzieć pozwoliłem, zalała się łzami i rzuciwszy się w nasze objęcia, dziękowała mówiąc, że: „chociażby nam o tem nigdy nie wspomniała, najgorętsze jednak jej życzenia spełniły się i ulżyły jej sercu".

Jej matka, chociaż i bywała u nas, równie jak i wiele innych osób, nie wiedziała o niczem; że zaś to trafiło się na parę dni przed Wielkanocą, termin zatem widzenia się naszego, naznaczony był w pierwszy dzień święta, w którym rzeczywiście matka jej przyszła zrana, i podług zwyczaju swej wiary, całując się w twarz ze mną, Chrystos woskres! (Chrystus zmartwychwstał!) wyrzekła.

Nie mogąc się doczekać paszportu do wyjazdu Albiny, zaraz po świętach wielkanocnych przygotowałem list prywatny do hrabiego Benkendorfa, szefa żandarmeryi. W liście tym, który ma się rozumieć, żona moja od siebie napisała, były wyszczególnione wszystkie przyczyny mojego samobójstwa, i odsyłając pana hrabiego do śledztwa, zwracała jego uwagę, czy żona mająca udział w zniknięciu męża, mogła być pierwszą, która o tem zawiadamia władzę? a przecież ona tak zrobiła, prosiła go zatem, aby on wdał się w tę sprawę, i paszport jej wyrobił. Prócz tego napisała jeszcze w podobnym guście i do posła austryackiego, aby i ten, jako za poddaną austryacką, upomniał się.

Przed napisaniem jeszcze tych listów, gdy lód na ziemi topnieć zaczął, kancelarya wojskowa uralska wydała rozkaz mieszkającym po nad rzeką, ażeby ci uważali czy ciała mego nie znajdą. Skutkiem tego o 400 wiorst od Uralska, dano znać z jednej stanicy, że pływające po rzece martwe ciało zatrzymano. Kilku przeto znających mię osobiście urzędników udało się tam, lecz pokazało się, że to był Kirgiz. Ten wypadek, gdyśmy się o nim dowiedzieli, przyspieszył powyższe listy, i te natychmiast na pocztę oddano.

Nie wiadomo, czy wskutek którego z tych listów, czy z naturalnego biegu rzeczy, dosyć, że po tylu cierpieniach, obawach, niepewnościach, trwogach i oczekiwaniach, w ostatnich dniach maja, przyszło nakoniec pozwolenie Albinie, do wyjazdu z Uralska. Pierwsza nasza Marya w nocy prawie do nas przybiegła, i zawiadamiając nas o tem, dodała, że jest polecenie, aby wydać Albinie wraz z Magdusią na wyjazd skarbowe pieniądze, naznaczyć wiernego i poufnego podoficera, któryby pod pozorem czuwania nad bezpieczeństwem Albiny w drodze, rzeczywiście zaś miał uważać, czy ona po drodze gdzie nie zajedzie i mię ze sobą nie weźmie; i tak bowiem w Petersburgu nie dopuszczano tego, abym ja się utopił.

Nazajutrz urzędownie o tem rozporządzeniu cara zawiadomiono Albinę, i na zapytanie kiedy wyjedzie, ona trzeci dzień czerwca naznaczyła.

Z pierwszego na drugi czerwca, o godzinie dwunastej w nocy, deszcz lał jak z cebra, ciemność było tak wielka, że o parę kroków nie można było najmniejszego rozpoznać przedmiotu, całe miasto było w uśpieniu, i nigdzie małego nawet światełka nie widać było. Dwie kobiety wyszły z pewnego domu tajemnie i z największą ostrożnością idąc ulicą, co kilka kroków się zatrzymywały, i nadsłuchując pilnie, czy ktokolwiek za niemi nie idzie, lub ich nie widzi. Jedna z nich była dość słusznego wzrostu, druga zbyt mała. Obiedwie niosły pod pachą motykę i rydel, i zmierzały prosto ku cmentarzowi. Tam przyszedłszy, długo brodziły po błocie, i starannie czegoś upatrując, szukały. Pierwsza nareszcie małego wzrostu, spostrzegła znak, i nie mówiąc ani jednego słowa, drugiej go pokazała.

Znakiem tym była żerdź, tylko co wczoraj w dzień tu wetknięta. Na jej widok kobieta wyższego wzrostu, długiem poszukiwaniem zniecierpliwiona, jak hijena rzuca się, i staje przed nim. Obiedwie ze znalezienia uradowane, obmacały rękoma to miejsce, i starannie ale z największą cichością rozkopywać je zaczęły. Zajęte tą pracą, nie zauważyły, że ktoś nierównym krokiem zbliża się do nich, ale jak tylko stąpanie to usłyszały, nie mówiąc ani słowa do siebie, w błocie się położyły. Tak przysłuchując się, w okropnym były przestrachu, albowiem kroki widocznie coraz się więcej do nich zbliżały. Wyższa z kobiet nie dopuszczając się bliżej, porywa od swej towarzyszki motykę, i trzymając ją w jednej a rydel w drugiej ręce, tygrysim skokiem rzuca się, i jak straszydło ogrodowe z rozciągnionemi rękami staje przed nim,, i zarzącemi iskrami z ust swoich go obsypuje. Jednocześnie druga wywijając żerdzią w powietrzu, z grobu na grób w powietrzu jak koza przeskakuje. Przestraszony pijany sołdat wytrzeźwia się w jednej chwili, i dobywszy reszty życia z swych piersi, ryknął przeraźliwym głosem i uciekł w przeciwną stronę.

Takim sposobem oswobodzone obiedwie kobiety wróciły do swojej pracy, i wkrótce trumienkę z grobu dostały, zarzuciwszy dół dobytą ziemią, wracały, błogosławiąc niebu, że deszcz ulewny rozmoczy wszystko, i ślady zatrze. Tak powracając z tąż samą ostrożnością, szczęśliwie do domu przyszły.

W kuchni jak zabici spali Lewiński i Gawryło, Albina zaś usłyszawszy znak umówiony, sama nam furtkę otworzyła.

— A co? znalazłeś? — było pierwsze pytanie mej żony, i gdy zaspokajającą otrzymała odpowiedź, prosiła, abym jej dziecię pokazał. Lecz ja delikatnie ją od siebie odsunąwszy, oddałem trupa Magdusi, a sam ująwszy ją pod rękę, wszedłem z nią do pokoju. Niebawem zdjąłem z siebie suknie kobiece, i z Magdusią, w suche już suknie przebraną, napiłem się gorącej herbaty.

Zostawszy nareszcie sami, mieliśmy z Albiną wiele o tym wypadku do pomówienia.

Nazajutrz Marya z przestrachem opowiadała nam, że znaleziono na ulicy pod miastem na pół żywego sołdata, który, gdy go przywrócono do zmysłów, z przerażeniem opowiadał, że na cmentarzu w nocy widział niezliczone pułki upiorów, wilkołaków, trupów ognistemi, iskrami na niego dmących, jak równie i to, że słyszał okropne jęki dusz rozlicznych, które djabli z ogromnemi łopatami w kotle mięszali.

Wytłómaczyłem Maryi, że to ja byłem z Magdusią, a iskry pochodziły z cygara, które paląc, umyślnie na niego sypałem. Objaśnienie to tylko co nas nie zgubiło, poczciwa bowiem nasza Uralka, zbijając twierdzenia innych, a popierając swe zdanie o zjawisku na cmentarzu, chcąc się przy swojem zdaniu utrzymać, tylko co w zapale uniesienia nie wydała sekretu.

Jakkolwiek znajomość Albiny z Uralcami była ograniczoną, należało się jednak spodziewać, że kilkanaście osób, licząc w to i naszych rodaków, zbierze się na pożegnanie. Marya nieznacznie zawiadomiła wszystkich, że Albina trzeciego czerwca, o godzinie trzeciej z rana wyjedzie, kto więc sobie życzy z nią się pożegnać, niech w wigilią przyjedzie, ona bowiem dla słabości zdrowia u nikogo nie będzie; rzeczywiście zaś, sama robiąc pożegnalne wizyty, bała się mię samego zostawić, przytomność bowiem jej umysłu, której już nieraz dała dowody, była rękojmią mojego bezpieczeństwa, a jej spokojności.

Trzeba wam teraz dać choć wyobrażenie o sposobie i środkach, jakie użyte zostały, aby mi wraz z żoną można było wyjechać.

Kocz wiedeński, którym tu Albina przyjechała, było to jakieś dotąd tu w Uralsku niewidziane zjawisko. Zwrócił on na siebie całego miasta uwagę, i wiele osób nabyć go chciało. Że zaś w liczbie tych była i matka naszej kochanej Maryi, przeto tembardziej zostawiłem jej pierwszeństwo, że ona miała tarantas *) moim widokom odpowiedni.

W przeszłym więc jeszcze roku, przy zrobieniu planu do ucieczki, narzekałem, że nam pieniędzy z domu nie nadsyłają, i aby to zrobić głośniejszem, umyślnie mój zegarek kieszonkowy zastawiłem, płacąc prócz tego procentu po pięć rubli na miesiąc, dla uniknienia zaś długiego ich

*) Tarantas, jestto powóz, którego pudło leży na długich drągach, miejsce rysorów zastępujących; powozy te niosą zwykle bardzo lekko.

opłacania, byłem niby zmuszony sprzedać pojazd matce Maryi, wziąć od niej tarantas i w przydatku jeszcze 1500 rubli asygnacyami.

Wieczorem, drugiego czerwca, w wigilią naszego wyjazdu, upakowano tłumoki, obwinięto wojłokami dwie skrzyneczki z nieżywemi naszemi dziećmi, i te w tyle powozu sznurami przymocowano, i tak wszystko urządzono, że przyjeżdżający znajomi na pożegnanie do Albiny upewnili się, że ona jutro o świcie wyjedzie. Że zaś pakując do tłómoka pościel, nie można mnie było chować się dłużej pod łóżkiem, przeto dotychczasową siedmiomiesięczną naszą kryjówkę, zmuszony byłem na strych zamienić, i tam przez Magdusię zamknięty, czekać cierpliwie aż mi znać dadzą.

Ceremonia pożegnalna nie była zbyt czułą, stosunków bowiem bliskich pomiędzy wyjeżdżającą a zostającymi nie było prawie żadnych, znaleźli się jednak tacy, którzy prawdziwie a nieudanie płakali; były to niższej klasy kobiety, które w każdym prawie zakątku świata są czulsze od mężczyzn; litowały się one nad Albiną, że tak młoda, a tyle już w ich mieście ucierpiała, i łzami starały się wynagrodzić winy swych mężów, którzy mię do samobójstwa zmusili.

Mającemu z nami jechać uriadnikowi, moja żona przy gościach zaleciła,aby jutro z rana przed trzecią godziną, przyprowadziwszy z sobą furmana i konie, sam przyszedł, albowiem ona sama, pokazawszy mu upakowany już tarantas, w nim nocować i czekać go będzie. Uriadnik mając sobie zalecone od swojej władzy posłuszeństwo i uszanowanie, jakie się szlachcie należą, wysłuchawszy rozkazu, stojąc wyprostowany, zrobił na lewo w tył i wyszedł.

Dopiero po dwunastej godzinie w nocy, gdy się już wszyscy rozjechali i rozeszli, zeszedłem ze strychu, i znalazłem tylko przy Albinie naszą Maryę i jej matkę. Tu wyznać muszę, że chwila ta pożegnania była prawdziwie rozrzewniająca. Poczciwą naszą powiernicę, zawieszoną na naszych szyjach, sie można było oderwać; łkając i zanosząc się od płaczu, błagała ona aby ją wziąć z sobą, myśli, że nas traci na zawsze, dopuścić nie mogła i nie chciała, i kiedy całując mię, szepnęła mi do ucha: „że nic odemnie nie żąda, tylko być z nami,“ widać, że wyznanie to wiele, i bardzo wiele kosztować ją musiało, albowiem zemdlona upadła na podłogę. Ratowaliśmy ją jak mogli. Przyszła wprawdzie do przytomności, ale była tak bladą, słabą i cierpiącą, że ją matka z Magdusią do domu prawie odniosły.

Magdusia wróciwszy od Maryi, opowiadała nam, że ta żegnając się z nią, całowała, prosiła, błagała i zaklinała, aby nad mojemi wygodami i bezpieczeństwem czuwała, nazywała ją najszczęśliwszą, że z nami jedzie, i zazdroszcząc jej ułomności twierdziła, że gdyby nie ta przeszkoda, obsypała by ją złotem, sama zaś przyjąwszy jej rolę, z nami by pojechała.

— Nic mi od nich nie potrzeba, niech tylko patrzę na nich, to dosyć dla mnie.

To mówiąc, wyjęła ze szkatułki parę asygnacyi, i prawie jej gwałtem za gors wtykała, dowodząc, że na przypadek nieszczęścia, będzie można czem mię wykupić, ale Magdusia daru tego nie wzięła.

Noce czerwcowe jak to wiadomo, krótkie bywają, wkrótce też i świtać zaczęło. Ja wszedłem w tarantas i przyjąwszy formę dziecięcia, w spirytusie w słoju będącego, pomieściłem się pod kozłem. Założono mię poduszką, szkatułką, maszynką od kawy i różnemi rupieciami, pokryto fartuchem od powozu, w którym Albina z Magdusią, już siedziały. Niebawem przyszedł i uriadnik z furmanem, który prowadząc konie, niósł także i dugę z dzwonkami, zaprzągł je spiesznie i już prawie siadł na kozioł. Marya widać nie spała, i na głos dzwonka jak szalona w tarantas wpadła, a objąwszy rękami Albinę, nogami swemi pod fartuchem tak mocno mię w odcisk na nodze udeptała, że ja nie oczekując tego i nie wiedząc co się stało, o mało że nie krzyknąłem z bolu. Przybyła jednak za nią jej matka, gwałtem ją od nas oderwała. Konie ruszyły i my wyjechaliśmy z Uralska.

O dzięki wam czcigodne Uralki! wyście prawie pierwsze dowiodły, że i płci waszej tajemnice powierzać można; pojęcia moje o prawach przyjaźni, są mi rękojmią, że tego, coście dla nas tak bezinteresownie zrobiły, nikt wam za złe nie weźmie, i gdyby nie przekonanie, że świat czytający czołem bić będzie przed wami, anibym słowa o was nie wspomniał.

W tarantasie, tak wszystko było urządzone, że ja w nim jadąc, mogłem się wzdłuż nieco wyciągnąć, położyć głowę na poduszce obok siedzenia żony mojej będącej, i pokryty fartuchem od powozu, po cichu z nią rozmawiać; za zbliżeniem się zaś do stacyi pocztowej, dosyć było minuty, ażebym przestrzeżony, już był skurczony pod kozłem.

Przy pierwszej zmianie koni, jednocześnie z przeraźliwym krzykiem Albiny i Magdusi, które z powozu nie wychodziły, usłyszałem że coś ciężkiego spadło na fartuch od tarantasa, z czego ogólne krzyki, rejwach i zamięszanie powstały. Ja nie wiedząc o co rzecz idzie, usłyszawszy to, przestraszyłem się okropnie, myśl lotna jak błyskawica, przebiegła mi przez głowę i dała mi to przekonanie, że Marya nie mogąc przenieść naszego rozstania, jechała za mną i jak bomba wpadła w tarantas, i zaledwo o strasznych następstwach z tego wypadku wyniknąć mogących pomyślałem. Krzyki Albiny i skomlenie przekonały mię, że to był mój wyżeł, który instynktem o mojej ucieczce zawiadomiony, gonił, aby się ze mną pożegnać; mówię, pożegnać, bo zrzucony z fartucha przez uriadnika, pędził jeszcze czas jakiś za powozem, a że był nadzwyczaj tłusty, a upał był nieznośny, musiał paść gdzieś na stepie, jako ofiara swojego przywiązania, bo odtąd, już go więcej nie widziano.

Zwykłym moim pokarmem w tej osobliwej podróży, był ser szwajcarski, kawior, chleb i kiełbasa; a że upał był straszny, a ja chociaż jadłem nie wiele, pić mi się jednak ogromnie i bardzo często chciało; uprzedziłem o tem Albinę, która nie wychodząc z powozu, kazała Magdusi na każdej stacyi, w dość duży imbryk nalewać wodę, i mię w drodze poiła. W taki sposób jadąc po półtorasta wiorst na dobę, jechaliśmy spokojnie, marząc o najszczęśliwszej przyszłości.

O moi kochani czytelnicy! gdybyście wy wiedzieli jak okropną scenę opisywać mi przychodzi! jestem pewny, że najtwardsze serce skruszyłoby się z żalu. Dziś jeszcze gdy to piszę, chociaż ośmnaście lat już przeszło, wspomnieć tego bez okropnego wzdrygnięcia nie mogę!... Wszystkie plany!... tylu cierpieniami mojej drogiej Albiny okupione!... O Boże! za cóż Ty nas karzesz i doświadczasz tak srogo?... wszakże Ty Panie, jako wszechwładna i wszystko wiedząca istota, najprzód o tem, co się stanie, wiedziałeś.. i potrzebaż Tobie było dozwalać, tyle trudnych przeszkód zwyciężyć, ażeby po zwalczeniu ich, na raz, jakby piorunem razić nas i wszystko zniszczyć?... Nie wiem com myślał wtedy o Tobie mój wielki Boże, wiem tylko żem słaby człowiek, i myślałem po ludzku, zdaje mi się: pomiędzy nami nie równa walka, i że Tobie o Panie, nie przystoi doświadczać człowieka! bo Ty, jako naprzód wszystko wiedzący, wiedzieć i o tem winieneś, czy człowiek dotrwa, przeniesie i wytrzyma szemrząc, albo nie szemrząc?!... Ale niezbadane dla człowieka są wyroki Boskie! Korząc się dzisiaj przed Twoim najświętszym Majestatem, wyznaję, że robiąc wtedy z potrzeby cnotę, cios ten z pokorą przyjąć musiałem.

Wyobraźcie sobie! na czwarty dzień naszej podróży, o pięć wiorst od miasta Piotrowska, w gubernii saratowskiej, mocne uderzenie koła o kamień na drodze będący, sprawiło, że deska na koźle zapadła i przygniótłszy mię całym ciężarem dwóch ludzi, krzyk z moich piersi dobyła, i mię odkryła!

Pióro mi z ręki wypada, kiedy kreślę te słowa! Mój Boże! za co i po co tyle naraz nieszczęść? ja nawet nie pojmuję, jak człowiek może przenieść tyle naraz piorunów!... Wszystkie ludzkie namiętności: złość, nienawiść, oburzenie zemsta, wściekłość nakoniec, wszystko to razem mną owładnęło, zawrzało i jak powiedziałem, straszny krzyk i jęk z piersi moich dobyło!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Dla milionów.

Powieść tłumaczona z francuskiego przez M. P

28) (Ciąg dalszy.)

— Nie mój paniczu, nie ma jej!

— A gdzie jest?

— Ona wyszła w południe!

— I kiedy wróci? — pytał Robert coraz więcej zdziwiony.

— Wcale tu nie wróci!

— Jakto?

— Ona tu już nie mieszka.

Robert umiał panować nad sobą, ale słowa odźwiernej przeraziły go tak, że mimowoli cofnął się, jak gdyby chciał uciekać.

Kobieta rozśmiala się.

— Pojmuję twoje zdziwienie, mój chłopcze — rzekła. — Poznałam cię od razu, bo byłeś tu już kilkakrotnie. No tak, panna Verdier wyprowadziła się stąd.

— Ale na jaką ulicę? Nie masz pani jej adresu?

— Nie. Rano zajechał wóz po rzeczy, a potem ona wyszla i nie pożegnala się nawet ze mną.

Robert drżał z strachu i niepewności. Co to miało znaczyć? Czy Lola uciekła? Ależ w takim razie tracił wszystko, on sam i Alfons. Z utratą Loli tracili miliony!

Ukrywając o ile możności swój niepokój, zapytał jeszcze odźwiernej:

— Nie wiesz pani, czy pan Alfons Martin zmienił także mieszkanie? On często bywał u panny Verdier.

— Wiem, wiem, znam go bardzo dobrze! Tak jest, on także zmienił mieszkanie, i znajdziesz go pan teraz na ulicy Montpeusier. Otóż tu jego gazeta a w niej dokładny jego adres.

— Jego gazeta? — zawołał Robert z szeroko otwartemi oczami. Zdawało mu się, że śni.

— No tak, pan Martin został naczelnym redaktorem humorystycznej gazety, mającej tytul: „Wesoły Goniec“.

To mówiąc podała mu odźwierna gazetę ilustrowaną, drukowaną na lichym papierze i przeznaczoną widocznie dla rozweselenia uliczników.

Robert wziął dziennik, oglądał go na wszystkie strony i po raz dziesiąty może czytał: „Alfons Martin, naczelny redaktor“. A dalej: „Wszelkich interesentów przyjmuję codziennie od trzeciej do piątej w biurze redakcyi na ulicy Montpeusier, pod num. 50“.

— Dziękuję pani — odrzekł Robert nareszcie, odkładając gazetę — i przepraszam, że tyle jej zająłem czasu.

Niespokojny lecz i zaciekawiony pobiegł pędem na ulicę Montepeusier i stanął wkrótce przed małym, dosyć ładnym domem, nad którego głównemi drzwiami zdaleka już widniał napis: „Redakcya Wesołego Gońca“.

Robert wszedł do sieni i zapukał do najbliższych drzwi.

Jakiś chłopak otworzył mu.

— Chcę się widzieć z panem Martin — rzekł Robert.

— Proszę.

Wprowadzono go do małego, skromnie urządzonego pokoju i tu ujrzał brata, siedzącego przy biurku, zarzuconem mnóstwem gazet i papierów.

ROZDZIAŁ 26.

Na widok Roberta zerwał się Alfons i pobiegł ku niemu. Potem zasunął rygiel przy drzwiach i rzekł cicho:

— Nareszcie!

— Cóż to wszystko znaczy? — zapytał Robert.

— Zaszły jak widzisz rozmaite zmiany.

— Czy Lola zerwała z tobą?

— Nie, nie, cóż znowu!

Robert odetchnął lżej.

— Ale co to znaczy — jej ucieczka i twój nowy zawód?

— Ba, mój kochany, odkryłem w sobie nowe zdolności...

— Głupstwo, nie przyszedlem tu po to, aby żartować. Odpowiedz mi raz nareszcie na moje pytanie!

— Uważam, że zawód redaktora najwięcej odpowiada memu usposobieniu. Nie myśl, że jestem za głupi na to.

— Tego też nie mówię, że uczyłeś się dużo i że umiesz więcej, niż niejeden, co książki pisze, ale chciałbym znać przyczynę, która cię do tego właśnie zmusiła zawodu, bo ja daremnie dla ciebie pracować nie myślę.

— Zakazałeś mi przychodzić do siebie, nie mogłem ci więc donieść o tej tajemnicy.

— Tak, ale teraz jestem tu, więc opowiedz mi wszystko! Byleby nam się Lola z rąk nie wysunęła!

Alfons zmarszczył brwi.

— Siadaj — rzekł — bo to długa historya! Osądzisz potem sam, jakiem jest nasze położenie.

Roberta zaniepokoiły słowa brata. Znał on go dobrze i wiedział, że dotąd był tylko narzędziem w jego i Loli rękach, co więc znaczyło jego nagle, samodzielne postępowanie? Czy zerwał z Lolą?

— Przed kilku dniami — zaczął teraz Alfons — rzekła do mnie Lola, że nie jesteśmy dosyć ostrożni i narażamy się lekkomyślnie na niebezpieczeństwo. Bo chociaż uwięziono niewinnych, to policya, nas zawsze jeszcze wyśledzić może, a my nie czynimy nic, aby niebezpieczeństwu uniknąć.

— Jak to? — zawołał Robert.

— Ja też tak spytałem Loli, ona zaś odpowiedziała mi, że policya potrzebuje dowiedzieć się tylko o dziwacznych warunkach testamentu jej ojca, a natychmiast zwróci podejrzenie na nas. Lola bowiem jest jedyną osobą, której zależy na tem, aby jej przyrodnia siostra nie poszla za mąż i umarła bezdzietnie. Któż mógłby sobie zresztą przypomnieć, że hrabia Noirville oskarżył ją o kradzież, a wtedy domyśliliby się ludzie, że zamordowaliśmy go przez zemstę. Ona jest przebiegła i wie, co robi. Powiedziała jeszcze, że jej osobiście nie mogą podejrzywać o popełnienie morderstwa, bo ręka kobiety nie może zadać tak okropnych ciosów, ale domyślą się, że miała wspólnika i że tym nie mógł być nikt inny jak ja, jej narzeczony!

Robert rozśmiał się głośno, lecz milczał.

— Śmiej się, jak chcesz — zawołał Alfons — ale ona ma słuszność. Ty nie przychodziłeś, nie dawałeś żadnej o sobie wiadomości, więc byłem w okropnym strachu.

— Tchórz! — szepnął Robert.

— Na mnie przedewszystkiem padnie podejrzenie i ja w największem jestem niebezpieczeństwie!

— Więc jak chcesz zaradzić złemu?

— Lola mówiła, że jedyna na to rada jest, rozłączyć się chwilowo, i że mam sobie obrać jaki zawód, aby ludzie widzieli, że pracuję na życie. Przyznałem jej zupełną słuszność i tak zawarliśmy następujący układ:

— Jaki? — zawołał Robert ciekawie.

— Lola zażądała od matki zwrotu tych 60 000 franków, które jej dała w depozyt i...

— O! o! — mruknął Robert i poruszył się niespokojnie.

— Mówiła, że z tych pieniędzy możemy wszyscy żyć wygodnie przez te dwa lata, które miną do odebrania złożonego u adwokata miliona, a może i wszystkich milionów. Ona urządzi sobie ładne skromne mieszkanie, a żyjąc sama, nie wyda ani piętnastu tysięcy franków!

— A my?

— My — to jest ja — odrzekł Alfons — znalazłem w gazecie anons, że do osiągnięcia wygodnej posady trzeba mieć 10 000 franków. Lola dała mi tę sumę. Poszedłem podług oznaczonego adresu i dowiedziałem się, że redaktor „Wesołego Gońca", straciwszy cały majątek na to wydawnictwo poszukuje wspóredaktora. Przyjął mnie bardzo uprzejmie i ofiarował mi miejsce naczelnego redaktora w zamian za moje pieniądze. Przyjąłem chętnie tę propozycyę, bo stanowisko wydawcy pisma bardzo mi się podoba. Każdy wie, kto to jest, a nikt nie pyta, z czego żyje, a to właśnie jest dla mnie bardzo ważne. Pismo nasze może się podnieść i nabyć wielkiego rozgłosu — przekonałem się o tem od chwili, w której zacząłem tu pracować. „Wesoły Goniec" nie mógł dotąd mieć powodzenia, bo miał lichego redaktora, ale teraz zmieni się wszystko, ja się na tem znam. Dochodem dzielę się z moim wspólnikiem i tak idzie nam doskonale. Mam zajęcie, nikt nie wie, że jestem zaręczony z Lolą i nikomu ani przez myśl nie przyjdzie, że brałem czynny udział w zamordowaniu hrabiego Noirville.

Alfons umilkł i spojrzał pytająco na brata.

— No i cóż? — rzekł po chwili. Co ty myślisz o tem?

— Myślę, odparł Robert, — że jesteś głupcem i że Lola drwi z ciebie! Ona pragnie się nas pozbyć i całą sukcesyą dla siebie zagarnąć. Otóż to ja myślę!

— Jakie dziwne przypuszczenie!

— Jak można tego nie rozumieć! Odebrała swoje 60,000 franków, tobie dala nędzne dziesięć tysięcy i to już wszystko, co ci się z jej pieniędzy dostanie. Za dwa lata odbierze milion — dla reszty nie będzie się narażała na nowe niebezpieczeństwa! Ja bym się też już zadowolnił milionem! A ty jesteś tchórzem — chciałbyś się zbogacić za pomocą innych i Lola robi z tobą, co jej się podoba. Ale ja ci powiadam że ja, który wszystkie trudy i wszelką pracę wziąłem na siebie, jestem tak przez nią okradziony, jak gdyby mnie zbójcy napadli w lesie! Moja matka jest też pokrzywdzoną. Pójdę zaraz do Loli i powiem jej, że nie wolno zrywać starej przyjaźni i zatrzymywać wszystkiego dla siebie. Dalej, bierz kapelusz i prowadź mnie do niej, spodziewam się przecież, że masz jej adres!

— Tak jest, ale.....

— Ale co? Po drodze ułożymy cały plan postępowania, zobaczysz, że wszystko wypadnie pomyślnie!

Robert wstał i spojrzał na brata tak groźnie, że Alfons nie śmiał już nic odpowiedzieć. Młody zbrodniarz umiał rzeczywiście rozkazywać!

ROZDZIAŁ 27.

Gdy wychodzili z domu, położył Robert nagle rękę na ramieniu brata.

— Czego chcesz jeszcze odemnie? — zapytał Alfons, który go się w tej chwili bał formalnie.

— Mógłbyś mi się wystarać o truciznę? — szepnął potworny niegodziwiec.

Alfons zadrżał.

— O truciznę? — powtórzył mimowoli.

— Zdaje mi się, że mówiłem dosyć wyraźnie.

— A to na co?

— Nie domyślasz się? Zapomniałeś, że Nora Garrel jeszcze żyje, że będzie prawdopodobnie skazaną tylko na kilka lat więzienia, i że dostaniemy dziesięć milionów, jeśli potrafimy jej się zręcznie pozbyć?

— Co — ty chciałbyś...... Ale ona znajduje się w więzieniu!

— To właśnie bardzo dobrze — tam jej śmierć nie zadziwi nikogo.

— Oszalałeś chyba! Dotychczas uniknęliśmy szczęśliwie wszelkiego podejrzenia, a teraz chcesz się znowu narażać na niebezpieczeństwo! Nie, nie trzeba wyzywać losu, nowy zamach na jej życie mógłby nas zdradzić. Mamy pewny milion za dwa lata, więc moglibyśmy się tem zadowolnić.

— A ja ci powiadam, że dostaniemy wszystko! Tylko — boisz się! — rzekł Robert z pogardliwym uśmiechem.

— Nie, nie, bynajmniej!

— Myślisz, że zrobisz na twej gazecie świetne interesa, ale to się wnet skończy. Ale mnie tam nic do tego, mówię tylko, że o jeden milion nie warto tak się starać. Gdy się milion podzieli na trzy części, ile dla każdego wypadnie? Nędzne 300,000 franków! Pomyśl — możemy mieć dziesięć milionów. Oprócz tego ja wszelką pracę biorę na siebie i od raz powziętych planów nie odstąpię. Jeżeli ty mi się o truciznę nie wystarasz, no, to wystara mi się kto inny, ale to sprawa o wiele niebezpieczniejsza!

— Co chcesz zrobić?

— To moja rzecz.

Alfons zamyślił się. Strach jego walczył z chciwością, pragnął milionów, a lękał się walki o nie. Był występny, lecz nie nadawał się na zbrodniarza, i gdyby nie Robert i Lola nie byłby się nigdy odważył na popełnienie morderstwa. Byłby się stał z czasem graczem, pijakiem, fałszerzem a nawet i złodziejem, ale o mordowaniu ludzi dla pieniędzy nie byłby nigdy pomyślał.

Teraz jednak, opanowany przez brata i Lolę odważył się na wszystko.

— Jakiej trucizny potrzebujesz? — zapytał nagle.

— Takiej, której kilka kropli wlanych w sok lub wino wystarczyłoby na zabicie człowieka! Uczyłeś się chemii, a zatem powinieneś wiedzieć.

— Więc — strychniny!

— Jak ta trucizna wygląda?

— Skrystalizowana jak sól!

— Takiej mi właśnie potrzeba. Mógłbyś się o nią wystarać?

— Nie wiem, bo to rzecz nie łatwa.

— Ale ja ją mieć muszę!

— Wiem już jak zrobię. Znam syna pewnego aptekarza, jest on mi winien trochę pieniędzy, powiem mu, że potrzebuję trucizny do wytępienia szczurów w drukarni i jestem pewny, że mi jej przyniesie tyle, ile zażądam.

— Tylko ostrożnie!

— Nie bój się. A potem co?

— Na co ci wiedzieć! Pozwól mi działać swobodnie, ja od ciebie nie żądam nic więcej jak to, abyś się nie opierał moim planom i nie pozwolił się Loli wywieść w pole.

— O to nie ma obawy.

— Przeciwnie, jest obawa! Chodź teraz do niej.

Obydwaj bracia udali się na przedmieście Piossoniere, gdzie Lola urządziła sobie ładne lecz skromne mieszkanie. Gdy zadzwonili otworzyła im pokojówka i rzekła:

— Pani nie ma w domu.

— Kiedy wróci?

— Na obiad.

— O której godzinie jada pani obiad? — zapytał Robert drżącym od złości głosem.

— O szóstej!

— Więc wrócimy tu o wpół do szóstej, —rzekł Alfons.

Był on zadowolony z tej zwłoki, przeczuwał bowiem, że czeka go burzliwa rozprawa z Lolą.

— Ja nie mogę tracić tyle czasu, — odezwał się Robert. — Wróć tu sam, mnie spieszno do pałacu.

— Możemy przyjść tutaj jutro.

— Jest to czas stracony. Kiedy możesz mi dać tę truciznę?

— Nie prędzej jak pojutrze, nie mogę przecież powiedzieć, że mi tak bardzo na niej zależy.

— Dobrze. Przyjdę do ciebie pojutrze i potem pójdziemy na śniadanie do Loli. Przygotuj ją na to.

I Robert odszedł, układając w myślach straszne plany......

ROZDZIAŁ 28.

Owym dniem wyznaczonym była niedziela to też Robertowi wolno było wyjść na miasto. Alfons miał iść z nim do Loli około jedenastej, lecz Robert był już o dziewiątej gotów i przechadzał się po ulicach Paryża. Pomimo swego młodego wieku nie był on wcale próżniakiem i nigdy czasu daremnie nie tracił, i chociaż czasem zdawał się być leniwym, to w rzeczywistości był on wtenczas najwięcej zajętym. Tak też i teraz. Stanął przed oknem sklepu owoców i patrzał niby to bezmyślnie na wyłożone owoce, a w myśli szukał najpiękniejszych gruszek i brzoskwiń i układał plan istnie piekielny.

Po chwili wszedł do sklepu, kupił kilka brzoskwiń i słoik konfitur, potem udał się do sąsiedniej cukierni po ciastka i zbliżywszy się do kasy, za którą siedział właściciel cukierni, rzekł uprzejmie:

— Chciałbym pana poprosić o wielką łaskę.

— Czego chcesz, mój chłopcze? — zapytał cukiernik.

— Nie umiem pisać, więc prosiłbym pana, abyś mi na kawałku papieru napisał adres osoby, której pakiecik ten chcę posłać.

— Ej, to drobnostka, — rzekł cukiernik, i wziąwszy kawał papieru, spytał:

— Powiedz mi nazwisko....

— Pani hrabina Noirville!

Robert wziął adres, wsunął go do kieszeni i podziękował za uprzejmość, a gdy wyszedł na ulicę, skinął na posługacza, wręczył mu paczkę z owocami i ciastkami i rzekł:

— Zanieś to do więzienia św. Łazarza!

— Dla jednej z uwięzionych kobiet?

— Tak!

— Jak się nazywa?

— Jej nazwisko napisane jest tu...

— Ale ja czytać nie umiem, — przyznał się posługacz nieśmiało.

— To nic nie szkodzi. Oddaj tylko paczkę i adres odźwiernemu, a on już wręczy wszystko, komu należy. Masz dwa franki i ruszaj.

Posługacz wziął owoce i pieniądze i pobiegł natychmiast do więzienia św. Łazarza. Robert szedł zdaleka za nim, i gdy ujrzał go dzwoniącego do bramy więziennej, odetchnął swobodnie.

— Udało się, — pomyślał. — Trzeba najpierw przyzwyczaić dozórców do przyjmowania owoców dla więźni, a potem dopiero zabierzemy się do dzieła.

Dozórca tymczasem otworzył paczkę i przejrzał wszystko dokładnie.

— Ciastka, konfitury i owoce, — mówi sobie w duszy, — widocznie jakaś przyjaciółka hrabiny przysyła jej to na pokrzepienie!

Ale jako sumienny urzędnik otworzył słoik, i przekroił ciastka, aby się przekonać, czy nie ma gdzie ukrytego listu. Nigdzie jednak nie znalazł zakazanych przedmiotów lub listów.

— Cudowna woń, — szepnął obracając brzoskwinie, — szkoda, że tylko trzy — gdyby ich było więcej....

Gdyby było więcej, zabrałby oczywiście z jednę dla siebie!

Potem otworzył drzwi i krzyknął głośno:

— Zuzanno!

Kobieta niemłoda, co najmniej pięćdziesięcioletnia, w ubraniu więziennem przyszła do niego.

— Zanieś to hrabinie Noirville — rzekł dozorca, wręczając jej paczkę.

Zuzanna, skazana za kradzież na kilka lat więzienia, była tu używaną do rozmaitych posług — zamiatała podwórze, nosiła swoim towarzyszkom wodę i uprzątała cele. Lubiono ją powszechnie, bo była cichą i łagodną, ale każdy niekażdy wiedział, że posiadała jednę wadę, to jest, że była strasznie łakomą. To też na widok brzoskwiń i ciastek aż krzyknęła z zachwytu i ledwie zapanować zdołała nad zbudzoną w swem sercu namiętnością.

Gruszki i brzoskwinie w tej porze roku, — myślała, patrząc pożądliwie na piękne owoce. — Dwie gruszki i trzy brzoskwinie — hm — taka nierówna liczba! Hrabina dosyć będzie miała na dwóch — i tych pewnie nie zje! Zresztą ona tyle płacze i tyle się martwi, że nie spostrzeże nawet braku jednej brzoskwini! I wiem napewno, że dałaby mi wszystko, gdybym ją o to prosiła.

I uspokoiwszy tem swoje sumienie, zjadła Zuzanna spokojnie największą i najpiękniejszą brzoskwinię.

ROZDZIAŁ XXIX.

Z uderzeniem jedenastej wszedł Robert do pokoju brata.

— Masz truciznę? — zapytał zaraz na wstępie.

— Mam, — odrzekł Alfons drżącym głosem, — ale jestem bardzo niespokojny, — bo to prawdziwe wyrywanie losu... Raz nam się już nie udało, gdy panna Garrel wpadła w rzekę i szczęście, że nas nie podejrzywano o to, ale nie zawsze tak być może. Mianowicie teraz, gdy policya i prokurator szuka mordercy hrabiego...

— Skończyłeś już? — roześmiał się Robert szyderczo. — Przestańże raz już wahać się i lękać, jeżeli jesteś takim tchórzem, to daj wszystkiemu pokój i wyrzeknij się milionów. Ja i Lola podzielimy się twoją częścią. Dawaj truciznę!

Alfons dał mu maleńkie pudełko z białym proszkiem, które Robert zawinął starannie w chustkę i schował do kieszeni.

— A teraz jeszcze jedno, — rzekł spokojnie. — Lola jest fałszywą i obłudną! Ona chce się nas pozbyć i dla jej wyłącznej korzyści pracować nie myślę.

— Mylisz się, ona nie zdradzi nas!

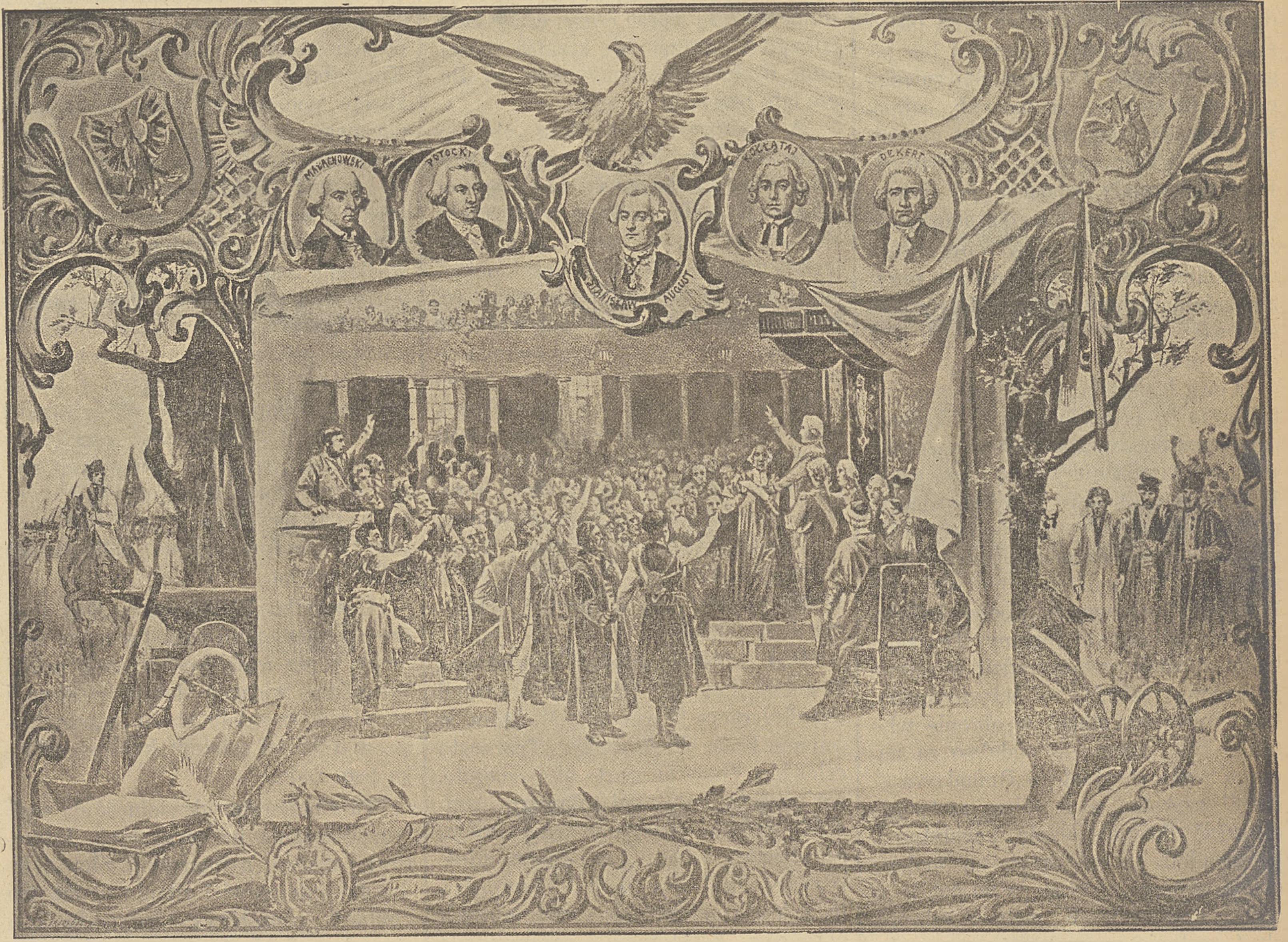
— Zobaczymy, w każdym razie nie uwierzę prędzej, zanim nie zostanie twoją żoną, lub nie podpisze kwitu, na mocy którego zobowięzuje się oddać nam połowę sukcesyi, jaka na nią spadnie po siostrze.

— Ona nie zostanie tak prędko moją żoną, — rzekł Alfons posępnie.

— Czemu?

(Ciąg dalszy nastąpi.)

DZIAŁ ILLUSTROWANY.



Tadeusz Sulima Popiel.

Pamiątka ogłoszenia wiekopomnej Konstytucyi 3-go Maja 1791-go roku.
(Obraz historyczny).

Konstytucya 3-go maja 1791-go roku.

(Wspomnienie historyczne).

Ostatnie sto lat w istnieniu Rzeczypospolitej Polskiej smutny przedstawiają obraz. Polska „stała bezrządem'', wewnątrz osłabiona brakiem ładu i samowolą magnatów, z zewnątrz zaś narażona na chciwość sąsiadów, którzy szukali tylko sposobności i pozoru, aby to państwo, jedno z największych w Europie, rozszarpać i rozdzielić między siebie. Prusy pierwsze wystąpiły z tym projektem i zyskały sprzymierzeńców w Rosyi i Austryi. W roku 1772 Polska straciła prawie czwartą część ziem swoich z czterema milionami ludności.

Pierwszy ten rozbiór Polski poruszył umysły ludzi kochających prawdziwie Ojczyznę i sięgających wzrokiem w dalszą przyszłość. Zaczęto myśleć nad naprawą złego stanu rzeczy, nad usunięciem błędów, które były przyczyną nieszczęść i groziły zupełnym upadkiem Polski. Z błędów tych, wytworzonych w długim lat ciągu, były trzy najważniejsze: brak wojska, któreby broniło granic kraju od zaborczej chciwości sąsiedzkiej; wadliwość w sposobie stanowienia praw na sejmach, które każdy poszczególny poseł mógł zrywać na mocy *„liberum veto''*; wreszcie — obieralność króla, powodująca po śmierci monarchy zamęt i nastręczająca sposobność do targów o tron, przynoszących wielkie korzyści potężnym magnatom, ale zarazem wtrącających kraj w odmęt bezrządu.

Było wiele jeszcze innych błędów w ustroju Rzeczypospolitej, jak: nierówność oddzielnych stanów wobec prawa, które inne były dla szlachty, inne dla mieszczan, a już zupełnie odmienne dla włościan; nierówny rozkład podatków; uprzywilejowanie jednego stanu ze szkodą innego; — wszystkie te jednak uważano za mniej ważne, uznając sprawę ustroju rządu i siły wojskowej za najważniejsze.

Długo obradowano na sejmie „wielkim'', który zaczął się w r. 1788-ym, a trwał do 1791-go (ztąd zwany też „czteroletnim'') nad temi sprawami. Najłatwiej stosunkowo przeprowadzono pomnożenie wojska, wszyscy bowiem rozumieli, że brak siły wojskowej może zgubić Polskę zupełnie. W sprawie *„liberum veto''* i obieralności króla zdania były podzielone. Magnaci i ich sprzymierzeńcy wszelkiemi sposobami starali się o utrzymanie istniejącego stanu rzeczy, możność bowiem wybierania króla i zrywanie sejmów oddawała im przewagę w kraju.

Wówczas to grono ludzi światłych i kochających prawdziwie Ojczyznę ułożyło nową ustawę zasadniczą, czyli konstytucyę, dla Polski. Według projektu ich, tron królewski miał przechodzić drogą spadku z ojca na syna. Ponieważ król Stanisław August był bezdzietny, tron więc po nim miał objąć elektor saski Fryderyk August lub jego spadkobierca. *Liberum veto* zniesiono, postanawiając, że uchwały sejmowe mają zapadać większością głosów. To były główne punkty konstytucyi. Inne zapewniały szlachcie jej dawne przywileje i prawa; mieszczanom przyznawały uchwaloną już poprzednio nietykalność osobistą i zrównanie praw z ziemianami; chłopów uchylały z pod samowoli szlachty i oddawały ich pod opiekę prawa.

Nową konstytucyę, opracowaną potajemnie w porozumieniu z królem, przedstawiono niespodziewanie sejmowi do zatwierdzenia w dniu 3-cim maja 1791 roku. Burzliwe to było posiedzenie. Nieznaczna część posłów starała się nie dopuścić do uchwalenia tej konstytucyi. Rzecznikiem opozycyi tej był Jan Suchorzewski, poseł kaliski, dziedzic milionowej fortuny. Ten sam, który głównie przeprowadził w sejmie zrównanie szlachty z mieszczanami, który pierwszy stanął w obronie włościan, tym razem, — podobno za namową posła rosyjskiego Bułhakowa — czynił wszystko, co możebne, ażeby nie dopuścić do uchwalenia konstytucyi. Sprowadził na salę sejmową małego synka swojego, grożąc, że go zabije w oczach posłów, jeżeli „wolność szlachecka“ zostanie pogwałconą przez zniesienie liberum veto i powołanie króla dziedzicznego, nietykalnego, nieodpowiedzialnego, — rzucił się na ziemię przed królem, broniąc dostępu doń posłom.

Pomimo opozycyi Suchorzewskiego i kilku magnatów, z hetmanem Branickim na czele, konstytucya została przez sejm uchwalona.

„Niech żyje król!... niech żyje konstytucya...“ — rozległ się okrzyk po sali sejmowej i przeniósł się na plac Zamkowy, gdzie tłumy ludu oczekiwały na wynik tej ważnej sesyi.

Na prośbę zebranych, Stanisław August z senatorami i posłami udał się bezzwłocznie do pobliskiego kościoła św. Jana, by tam zaprzysiądz konstytucyę. Te właśnie chwilę przedstawił mistrz Jan Matejko w prześlicznym obrazie, którego podobiznę podajemy. Posłowie w uniesieniu niosą króla na rękach. Przed nimi tarza się Suchorzewski, by niedopuścić króla do świątyni, wlokąc za sobą swego synka. — Obok grupują się magnaci, senatorowie, posłowie i tłum mieszczan.

„Król z narodem — naród z królem“ — powtarzał rozrzewniony do łez Stanisław August, a naród cały z zapałem przyjmował te słowa i okrzykami na nie odpowiadał.

Cały rok trwało uniesienie, cały rok Polska radowała się, że nareszcie nastaną dla niej lepsze czasy, czasy ładu, porządku. Zaczęto się krzątać energicznie około naprawienia tego, co długie lata bezrządu popsuły.

A tymczasem w Wiedniu „obrońcy wolności szlacheckiej“, Szczęsny Potocki i Seweryn Rzewuski knuli spisek, mający na celu obalenie konstytucyi. Szukali pomocy u Austryi, a nie znalazłszy jej, zwrócili się do Rosyi, otwarcie prosząc o wprowadzenie wojsk rosyjskich do Polski dla przywrócenia dawnego porządku, a raczej nieporządku. Dobrawszy sobie trzeciego pomocnika w osobie hetmana Branickiego, udali się do Petersburga, gdzie wspólnie z generałem Popowem ułożyli skargę przeciw sejmowi o gwałty i zbrodnię, wraz z prośbą o pomoc wojskową.

Prośba została wysłuchana. Rosya wkroczyła zbrojnie do Polski, aby... bronić wolności, pogwałconej konstytucyą 3-go maja.

Pod opieką wojska rosyjskiego, Branicki, Potocki i Rzewuski utworzyli „konfederacyę Targowicką,“ która w imieniu króla objęła rządy. Trzynastu członków początkowo do niej należało, ale poparta bagnetami żołnierzy rosyjskich, zniosła konstytucyę 3-go maja, rozwiązała władze administracyjne, przywróciła dawny porządek, wypędziła z kraju wszystkich wybitniejszych obrońców konstytucyi, zaprowadziła cenzurę. „Obrońcy wolności“ przywłaszczyli sobie mienie publiczne, grabili dobra swych przeciwników, — a tymczasem Rosya, Austrya i Prusy porozumiały się o dalszy rozbiór Polski. Wojska obce wkroczyły i zajęły ogromną przestrzeń kraju, zmuszając mieszkańców do złożenia wiernopoddańczej przysięgi.

Targowiczanie spostrzegli się, że zaszli za daleko i że Polskę w przepaść wtrącili. Chcieli oponować. W odpowiedzi zażądano zwołania sejmu do Grodna.

Był to ostatni sejm polski. Gmach sejmowy otoczono wojskiem i armatami. Zażądano, aby posłowie dobrowolnie uchwalili rozbiór Polski. Po krótkich pertraktacyach marszałek sejmowy, Stanisław Bieliński, słynny marnotrawca i rozpustnik, odczytał wniosek podziału Polski. Na trzykrotne zapytanie marszałka o zgodę, nikt się nie odezwał. Uznano to za jednomyślne przyjęcie wniosku. Tak się skończyły marzenia narodu, związane z konstytucyą 3-go maja. *H. M.*

Charakter Konstytucyi 3-go maja.

Konstytucya 3-go maja była aktem przeciwnym poprzedzającej ją tradycyjnej polityce stanu szlacheckiego z czasu upadku państwa w długiej dobie po-jagiellońskiej, zwłaszcza saskiej. — Korzystając bardzo oględnie z przykładów, podawanych przez współczesne państwa, twórcy konstytucyi radzili się w stawianiu fundamentów pod nowy ustrój Polski nie tyle panujących i przeważających spółcześnie konserwatywnych przesądów politycznych wielkiej i małej szlachty, ile raczej tego rozumu stanu, który przed setkami lat ożywiał potężnych kierowników młodego państwa polskiego, potem mądrych twórców unii z Litwą i Rusią, jeszcze później znakomitych pisarzów politycznych, potężnych kanclerzów i hetmanów, wreszcie nieśmiałych zrazu, potem coraz silniejszych i coraz mniej patrzących na popularność braci szlachty reformatorów politycznych XVIII wieku.

U schyłku XVIII wieku tkwi jeszcze mocno w opinii naszej szlachty urobiony przez wieki specyficznie polski liberalizm, widzący dobro państwa i narodu w szczęściu stanu szlacheckiego, w wolności „złotej“ każdego członka tego rodu.

Ta nieszczęsna niezdolność do podporządkowania interesu stanu interesowi państwa, a interesu i zdania jednostki interesowi i zdaniu ogółu, ten zgubny, chorobliwy indywidualizm stoczył w dobie Sejmu czteroletniego walkę zasadniczą z odmiennem pojmowaniem rzeczy, kładącem na plan pierwszy dobro państwa, któremu interes stanów i jednostek winien był ustąpić.

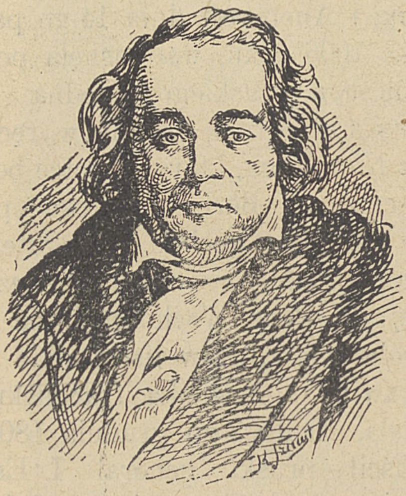
Walka wypadła korzystnie dla stronnictwa narodowego.

Najlepsi reprezentanci stanu szlacheckiego dojrzeli, że tradycya ostatnich wieków jest dla państwa zła i znaleźli dosyć siły i rozumu, ażeby się jej oprzeć. Gdy w innych państwach konstytucye miały głównie na względzie rozszerzenie praw jednostki wobec państwa, konstytucya polska ukróciła prawa obywateli i złożyła z nich ofiarę na rzecz państwa polskiego. — Najlepsza część narodu okazała, że potrafi się rządzić i rządzić dobrze.

Ten charakter konstytucyi 3 maja przebija się w surowym po męsku i powściągliwym, a tak pięknym wstępie do konstytucyi:

„Uznając, iż los nas wszystkich od ugruntowania i wydoskonalenia konstytucyi narodowej jedynie zawisł, *długiem doświadczeniem poznawszy zadawnione rządu naszego wady, a chcąc*

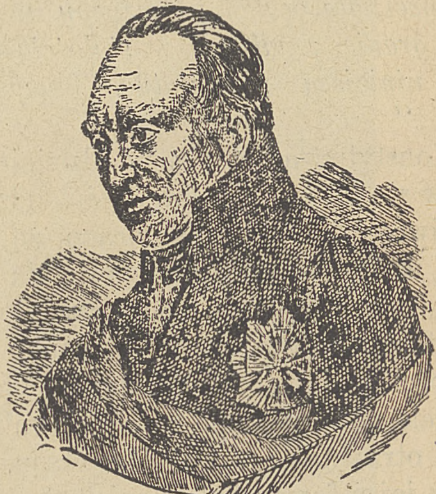
Najwybitniejsi twórcy Konstytucyi 3-go maja 1791 r.



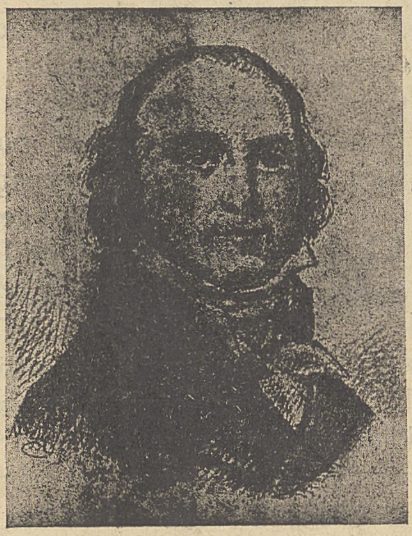
Julian Ursyn Niemcewicz.



Stanisław August Poniatowski.



Stanisław Staszyc.



Jan Śniadecki.



Józef Zajączek.



Stanisław Potocki.

korzystać z pory, w jakiej się Europa znajduje, i z tej dogorywającej chwili, która nas samym sobie wróciła, wolni od hańbiących obcej przemocy nakazów, ceniąc drożej nad życie, nad szczęśliwość osobistą — egzystencyę polityczną, niepodległość zewnętrzną i wolność wewnętrzną narodu, którego los w ręce nasze jest powierzony; chcąc oraz na błogosławieństwo, na wdzięczność współczesnych i przyszłych pokoleń zasłużyć; mimo przeszód, które w nas namiętności sprawować mogą; dla dobra powszechnego, dla ugruntowania wolności, dla ocalenia Ojczyzny naszej i jej granic, z największą stałością ducha niniejszą konstytucyę uchwalamy...“

Konstytucya miała po dzisiejszemu, w sto lat po jej uchwaleniu sądząc, wadliwości i braki. Zarzucano, że organy, które konstytucya powołała do życia, nie mogły działać prawidłowo bez starć i kolizyi, że w stosunku do ludności wiejskiej i miejskiej uczyniła niewiele, że wogóle nie mogła się całkowicie otrząsnąć z przesądów czasu, że zatem jej reformy były poniekąd połowiczne i chwiejne.

A jednak, im większa przestrzeń czasu dzieli nas od 1791 roku, im głębiej wnikamy w istotę rzeczy, rośnie na wspomnienie Ustawy 3-go maja nasz podziw dla tego dzieła i nasza narodowa duma.

Konstytucya w życie nie weszła, a wewnętrzne odrodzenie narodowe, którego ona była objawem, postępowało mimo najcięższych przejść zawsze naprzód. Lepsza, jasna droga naszej polityki narodowej, która zaprowadziła naszych pradziadów do stworzenia tego historycznego pomnika, nie ginie odtąd nigdy z oka. Przeszły rozbiory kraju, burze europejskich wojen, klęski zadane powstaniom naszym, a na czoło naszych ideałów politycznych wybija się coraz potężniej hasło: Wszystko dla narodu! Gdy idzie o jego dobro, o jego interes, niczem jest dobro stanów, czy warstw społecznych, niczem interes jednostek!

Owszem po każdem cięższem przejściu staje się to hasło droższem i wnika w coraz głębsze warstwy narodu, obejmuje ludność miejską i dociera do milionowych rzesz ludu.

Ale w głębi naszego organizmu narodowego pokutuje jeszcze i przeziera stary, tradycyjny indywidualizm dawnej swawoli i politycznego nierządu, a powołuje się na gorszą, starą drogę naszej polityki z czasów wewnętrznego upadku. Wiele jest jeszcze w naszym charakterze „przeszkód, sprawowanych w nas namiętnościami,“ jak wyrażają ustawodawcy konstytucyjni. Zwalczać w sobie i w społeczeństwie te odśrodkowe, przeciwne dobru narodu, a zastarzałe namiętności polityczne, stawiać jedność narodową i dobro narodowe nad interesy partyi lub stanu, a nigdy nie zrażać się niezrozumieniem lub zawiścią współczesnych, ale iść zawsze śmiało i wytrwale do celu, jest obowiązkiem tych, którzy chcą „na błogosławieństwo, na wdzięczność współczesnych i przyszłych pokoleń zasłużyć.“ *S. P.*

Trzeci Maj.

(Wspomnienie historyczne.)

Witaj majowa jutrzenko!
Świeć naszej polskiej krainie,
Uczcimy ciebie piosenką
Przy hulance i przy winie.
Witaj Maj, piękny Maj,
U Polaków błogi raj!

Nierząd braci naszych cisnął:
Gnuśność w ręku króla spała,
A wtem Trzeci Maj zabłysnął,
I nasza Polska powstała.
Wiwat Maj, piękny Maj,
Wiwat wielki Kołłątaj!

Ale chytrości gadzina
Młot swój na nas gotowała;
Z piekła rodem Katarzyna
Moskalami kraj zalała.
Chociaż kwitł piękny Maj,
Rozszarpano biedny kraj.

Wtenczas Polak ze łzą w oku,
Smutkiem powlekł blade lice,
I trzeciego Maja w roku,
Wspominał lubą rocznicę.
Wzdychał ciągle, Boże daj,
By zabłysnął Trzeci Maj!

Na ustroniu jest ruina,
W której Polak pamięć chował,
Tam za czasów Konstantyna
Szpieg na nasze łzy czatował.
I gdy nadszedł Trzeci Maj
Łańcuchami brzęczał kraj.

W piersiach rozpacz uwięziona
W Listopadzie wstrząsła serce:
Wstaje Polska z grobów łona,
Pierzchają cary morderce.
Błysnął znowu Trzeci Maj,
I był wolny błogi kraj!

Próżno, próżno Mikołaju,
Z paszcz ognistych w piersi godzisz,
Próżno rząd wolnego kraju
Nową przysięgą uwodzisz.
To nasz śpiew: witaj Maj
Niech przepadnie Mikołaj!

Z ojczystych stron.

Miasto Lidzbark
W PRUSACH ZACHODNICH.

Opisał **Konstanty Kościński.**

(Ciąg dalszy).

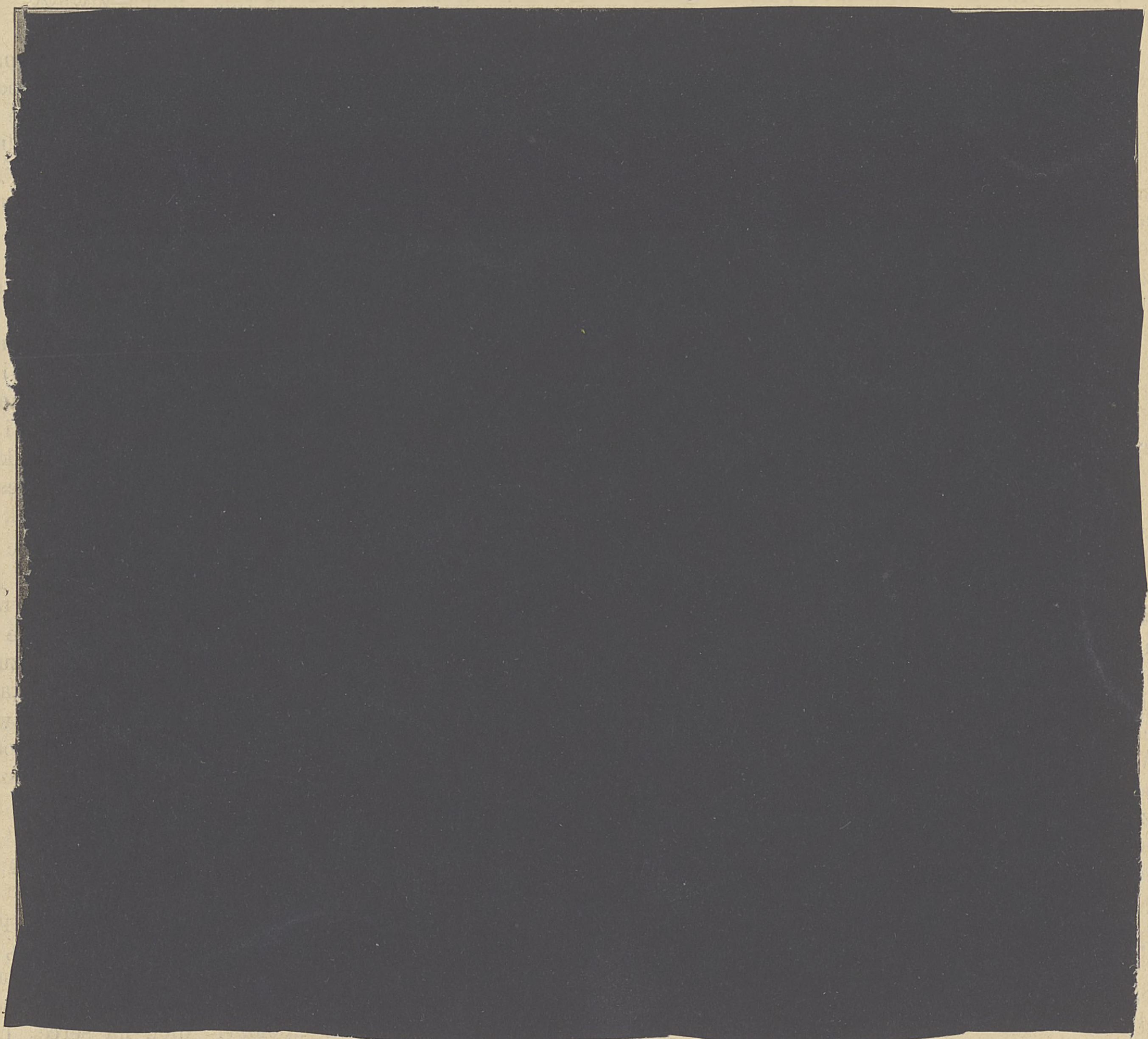
VI.

Czasy Wielkiego Księstwa Warszawskiego.

Klęska, którą od wojsk francuskich ponieśli Prusacy w bitwach pod Jeną i Auerstadt dnia 14-go października 1006 roku, wstrząsnęła posadami królestwa pruskiego. Jedna forteca pruska za drugą padała w ręce cesarza Napoleona, który wkrótce bez trudności zajął Berlin i szybko posuwał się dalej na wschód. Wskutek tego, dwór pruski przeniósł się czemprędzej do Prus Wschodnich na krańce Królestwa. Już w listopadzie 1806 r. pojawiły się wojska francuskie nad Wisłą. Dnia 5-go grudnia 1806 roku opuścił pruski generał L'Estocq z swoją załogą Toruń i stanął kwaterą w Golubiu, a dnia 6-go grudnia w Brodnicy. W dniach następnych korpus generała L'Estocq'a rozłożył się pomiędzy Brodnicą, Lidzbarkiem i Działdowem. Ponieważ francuski marszałek Ney zbliżał się, przeto pruski generał L'Estocq chciał się połączyć z sprzymierzonym rosyjskim generałom Benningsenem, ale zapobiegli temu Francuzi bitwą pod Bieżuniem, dnia 23-go grudnia 1806 roku. Dnia następnego, w samą wilię Bożego Narodzenia, francuski marszałek Ney zaatakował Prusaków dowodzonych przez pułkownika Bülowa w pobliżu Lidzbarka pod Górznem i wyparł ich aż do Węgorni. Pruski generał L'Estocq cofnął się wtedy aż do Działdowa, ale i tu nie zdołał się oprzeć. W dzień Bożego Narodzenia 1806 roku rano wkroczyli Francuzi do miasta Lidzbarka. Stąd podążyli za wojskiem pruskiem i niebawem znieśli jego przednie straże pod Ciborzem. (Przy starym moście w Ciborzu znaleziono 1898 roku dużo ludzkich kości, które z tych czasów pochodziły. Stały wtedy oddziały pruskie pod Jeleniem i Wąpierskiem, ale i te cofnęły się, a francuski marszałek Ney jeszcze dnia 25 grudnia 1806 roku zajął Działdów. Wkrótce zbliżył się sam Napoleon i przez dwie doby stanął kwaterą w Brodnicy. Wojna trwała jeszcze pół roku. W tym czasie w okolicach Lidzbarka przebywały francuskie dywizye dragonów Grouchy'ego i Milhaud'a, a samo miasto znajdowało się kilkakrotnie jakoby w samym środku operacyi wojennych. Dwa razy wojska francu-

skie lokowały jeńców w Lidzbarku. Raz przyprowadzono 1000 pojmanych Rosyan, a drugi raz 500 Prusaków i Rosyan, których umieszczono w kościele Najśw. Panny Maryi. Przy tej ostatniej sposobności usiłowali pojmani kościół spalić i takim sposobem wydostać się z zamknięcia. Spostrzeżono jednakże dość wcześnie kłęby dymu i zniweczono zamysły[1]). Jednego z jeńców, niezdatnego do marszu, Francuzi na cmentarzu zakłuli. Kościół Najśw. Maryi Panny sprofanowano wtedy w sposób straszliwy. Ławki połamano, konfesyonały porąbano, podłogę oderwano, ołtarze popsuto, a obraz Najśw. Maryi Panny z ołtarza wyrzucono, o czem wysłał sprawozdanie władzy biskupiej ksiądz proboszcz Matuszkiewicz.

W tym czasie obcięli Francuzi z szykany dwom Lidzbarzanom Michlanowi i Rosuanowi warkocze, a ewangelicka księga zejścia zaznacza, że młynarz Fryderyk Matthe, 45 lat liczący, mąż Elżbiety Preussówny, zastrzelony został dnia 23-go lutego 1807 r. przez huzara francuskiego i że pogrzeb od był się po cichu. Po bitwie, którą zwycięzko stoczył Napoleon dnia 14-go czerwca pod Friedlandem, zawarł on dnia 7-go lipca 1807 roku pokój w Tylży, którego wynikiem było utworzenie Wielkiego Księstwa Warszawskiego. Ziemia Michałowska wraz z Lidzbarkiem dostała się znów pod panowanie polskie[2]).



Rządy pruskie ustały. Ziemię michałowską przydzielono do departamentu bydgoskiego. Na czele powiatu michałowskiego, jako podprefekt stanął z ramienia rządu polskiego Wielkiego Księstwa Warszawskiego Jan Wybicki, krewny wojewody Józefa, a w mieście Lidzbarku ustanowił rząd polski burmistrzem i zawiadowcą władzy policyjnej najpierw przez krótki czas Jana Olszewskiego, a następnie Wawrzyńca Kościńskiego, pochodzącego z Rybna[3]). Ten ostatni przetrwał na swoim urzędzie przez cały czas istnienia Wielkiego Księstwa Warszawskiego.

W sąsiednich miastach zamianowano urzędnikami także Polaków.

W *Brodnicy* burmistrz pruski Preuss pozostał na swym urzędzie (1807 r.), ale nazywał się odtąd Pruskim. Roku 1810 pełnił obowiązki burmistrza w Brodnicy Nowiński. Rutkowski Ksawery został sędzią pokoju, tak samo Wilczewski. Sekretarzami, pisarzami i kancelistami w sądzie i w podprefekturze byli: Biernacki, Gudowicz, Kolczyński, Malonowski. — Owidzki Jan został burgrabią powiatu michałowskiego, a Krzywkowski i Antoni Pawłowski notaryuszami. Kapitanem gwardyi narodowej w Brodnicy był roku 1807 Guth. Pastor protestancki w Brodnicy tak się zastósował do nowego porządku rzeczy, że roku 1809, w dzień imienin cesarza Napoleona, odprawił osobne nabożeństwo, wziąwszy jako temat: Nemo sine afflatu divino vir magnus (nikt nie jest mężem wielkim bez natchnienia Bożego[4]).

W *Gorznie* pełnili obowiązki burmistrza i zawiadowcy policyi Maliszewski i Pniewski, w *Kurzętniku* Józef Chrapkiewicz (1810, 1811 roku) i Gaetschke (1811 r.), w Nowemmieście Gorczyczewski (1810, 1812 r.) i następnie Jó-

---

[1]) Fankidejski, Utracone kościoły. Str. 138.

[2]) Homagium na rzecz Wielk. Księcia Warszawskiego przytacza Plehn na str. 277 w Geschichte.

[3]) Ur 1799 r. † w Lidzbarku 14. 1. 1823 r. zabity gałęzią przy spuszczaniu drzewa.

[4]) Odnosiło się to naturalnie do Napoleona!

zef Chrapkiewicz. W *Lubawie* byli burmistrzami i urzędnikami: Józef Leski, Samuel Kalwa, Józef Denck, Woelke, Zworowski, Józef Gierłowski i Józef Targowski. W Gołubiu był burmistrzem Malinowski (ojciec znanego księdza lingwisty), a inspektorem dobr koronnych Kaźmierz Rzątkowski.

W Lidzbarku urzędowali za czasów burmistrzostwa Wawrzyńca Kościńskiego: S [redacted]
(1810 r.) [redacted]
poczty (18 [redacted]
dnik polic [redacted]
Bez po [redacted]
barka ucią [redacted]
Francuzów [redacted]
Napoleona [redacted]
kraju Wie [redacted]
skiego cięż [redacted]
Lidzbark [redacted]
francuskie [redacted]
skie. Cią [redacted]
nia żołnier [redacted]
ły ludzi mi [redacted]
Ludność ż [redacted]
i mienie, [redacted]
ofiar, a dr [redacted]
ście panow [redacted]
dostatek, [redacted]
Kupowane [redacted]
wach i pła [redacted]
kóba Bien [redacted]
Lidzbarka [redacted]
przewodni [redacted]
przez pewi [redacted]
nęli się. [redacted]
ny i chcia [redacted]
nie zdradz [redacted]
ale komend [redacted]
przedstawi [redacted]
W poch [redacted]
Kosyi brały [redacted]
że i wojska [redacted]
grudniu 18 [redacted]
mii francus [redacted]
działając — jak historycy pruscy twierdzą — na razie na swoją własną odpowiedzialność. Wkrótce król pruski Fryderyk Wilhelm III zgodził się na krok Yorka i sam dnia 28-go lutego 1813 roku zawarł w Kaliszu z cesarzem rosyjskim Aleksandrem I układ, w którym cesarz zapewnił królowi pruskiemu posiadanie Prus Wschodnich i nadto jeszcze pewnej części krajów polskich, któreby Prusy Wschodnie łączyły z Śląskiem. Od tej chwili Prusy już nie z Napoleonem, lecz z Rosyą przeciwko Napoleonowi operowały wspólnie. Lidzbark i okolicę od roku 1813 aż do roku 1815 trzymali po największej części w swem ręku Rosyanie. Po zupełnem upadku Napoleona uregulowano nareszcie polityczną kartę europejską na kongresie wiedeńskim w roku 1815, w ten sposób, że król pruski patentem z dnia 15-go maja 1815 roku wziął dzisiejsze Wielkie Księstwo Poznańskie, wraz z powiatami chełmińskim i michałowskim w swoje posiadanie. Co do tych dzielnic ostatnich wydał król pruski osobną jeszcze odezwę także pod dniem 15-go maja 1815 roku, zamieszczoną w zbiorze praw pruskich z tego samego roku. Wielkie Księstwo [redacted] kich zbroi, co ogniem nieszczęść rozświecały długie lata....

Nie było wiele przesilnych dni w Polsce..., bo nie blizkie bywało serce ludu dłoni królewskiej, tej dłoni, co dzierżyła berło pięknej władzy, lecz okutej przywilejów łańcuchami... więc szły herby i tytuły, rosły zamki i dwory zamożne... a „serce ludu trzepotało jako ptasze,'' żaliło się niejedną gorzką skargą na krzywdy, rany i bole...

A kiedy przyszła chwila najsroższego bolu, kiedy rozbiór Polski dokonał wiwisekcyi na żywym narodzie, wtedy oto przyszedł na rynek w Krakowie nowy „król,'' hetman w sukmanie wieśniaczej. Położył dłoń na serce ludu — zrozumiał ile w nim bije ognia, zapału i męstwa, odgadł ile w nim jest siły i woli nieugiętej...

I wtedy przesilny dzień wstał nad obszarem całej Polski...

Kościuszko, składając przysięgę, iż o wolność prawa narodu walczyć będzie nieustając, powołał włościan do służby narodowej, uznając ich równymi wobec szlachciców.

Zadzwoniły dzwony z wieżyc krakowskich, popłynął głos Zygmunta nad Wiślane fale, hejnał z wieży Marya- [redacted]
[redacted] miejscu,
[redacted] położono
[redacted] donio-
[redacted] nia za-
[redacted] i Pol-
[redacted] ej już
[redacted] narod
[redacted] wszyscy
[redacted] trzeba
[redacted] serce to
[redacted] i wola,
[redacted] łaty.
[redacted] i plony
[redacted] kłosów,
[redacted] jest dro-
[redacted] wykonane.
[redacted] świty
[redacted] poczy-
[redacted] wracają-
[redacted] budzi
[redacted] zuwają-
[redacted] każdego
[redacted] w datę
[redacted] przesil-
[redacted] szarach
[redacted] hasło:
[redacted] ściśle
[redacted] moc
[redacted] przesi-
[redacted] loda-
[redacted] uta zi-
[redacted] ól het-
[redacted] „położył dłoń na serce ludu,'' wstała nowa myśl i poszła polami, lasami, jak promień słoneczny po kraju całym, wołając rozgłośnie: „z ludem i przez lud!...''

I w Krakowie — na rynku, na tem miejscu, gdzie Kościuszko kładł rękę na serce ludu — położono wielką kamienną płytę.

Leży ona nizko, pod stopy przechodniów rzucona, w fali kamieni brukowych zlana w szarą toń, a przecież — choć niska — zdaje się wyższa, choć szara, zdaje się jaśniejsza, choć niewidziana zdaleka, jednak szanowana i czczona jest przez wszystkich.

Pokłoniły się jej szyny tramwajowe, ustąpiły, aby nie tknąć jej sobą... nie stąpi na nią noga żadnego przechodnia, leży nisko, a jednak niby wyższa... szara i nikła, a jednak ma w sobie jakiś blask i jasność pamiątki nigdy nie zbladłej....

---

[5]) **Pochodził z rodziny kaszubskiej Jarków.**

[6]) **Plehn, Geschichte. Str. 287.**

Na serce dłoń kładnijmy — uczmy się lud kochać, siejmy w sercach naszych dzieci wielkie miłowanie ludu, czyńmy wszystko ku temu, by lud był jako zorza wiosenna, niosąca ożywczą siłę w około.... a wtedy Polska zmartwychwstanie.

Z ludem i przez lud!...

Jan Świerk.

Kochać Ojczyznę.

Kochać kraj własny, Ojczyznę drogą,
To kochać wiernie i zawsze znaczy,
I w dzień słoneczny, i w noc złowrogą,
I w dzień wesela i w dzień rozpaczy,
I tak dni życia swego ułożyć,
Aby Ojczyźnie szczęścia przysporzyć!
Postępki swoje czynami znaczyć
I chcieć szlachetnym być w każdej chwili
Tym, co nie znają prawdy, tłómaczyć,
Sercem tłómaczyć, by nie błądzili,
Nieść światło ciemnym, choć po iskierce,
I sercem pięknie płacić za serce.
Kochać Ojczyznę — to wszystkie stany
Ukochać sercem swem jednakowo,
Pod dach ubogi, pod dach słomiany,
Nieść czyste serce, nieść zdrowia słowo,
Czynami swymi, potęgą miłości
Ulżyć niedoli, w miarę sił, możności.
Kochać Ojczyznę — to roztlić uczucia
I zahartować serca swego drżenia,
To niszczyć w duszy jad gorzki zepsucia
I niszczyć w sercu swych braci zwątpienia,
Ulżyć cierpiącym w życia zawierusze,
Słowem i czynem krzepić chore dusze,
Kochać kraj własny, ziemię ojczystą,
To szczęścia chwilą dzielić się z bratem,
Dać serce czyste i dłoń swą czystą,
Nie zbyć słowami, albo dukatem...
Kochać Ojczyznę — to naprzód kroczyć
I szczęście z braci szczęściem zjednoczyć.
Kochać kraj własny — to kochać jasne
Hasło do pracy, wiedzy, poznania,
Dobro rodaków kochać, jak własne,
Być zawsze pełnym poszanowania
Dla pracy, trudów każdego wieku,
Czcić myśl szlachetną w każdym człowieku.
Kochać Ojczyznę — to siły zdwajać,
Aby dla kraju żyć pożytecznie,
Zdobycze wiedzy, cnoty przyswajać,
Współdziałać dobrym ludziom serdecznie,
Szanować, cenić, witać radośnie,
Wszystko co dobre, żyje i rośnie.
Kochać kraj szczerze — to w przyszłość wierzyć,
W jutrzenkę szczęścia dla ludzi jasną,
Wszelkie złe chęci w sercu uśmierzyć,
Wierzyć, że wszelkie nieszczęścia zgasną,
Gdy prawdy, cnoty słońce rozdnieje
I w wszystkich sercach miłość zasieje.
Kochać kraj własny — to serce młode
W pracy i czynach dobrych wciąż ćwiczyć,
Kochać kraj cały, jego przyrodę,
Uczynków dobrych swoich nie liczyć,
Lecz ćwicząc ducha, karcić surowo
Złe twoje czyny i złe twoje słowo!
Kochać Ojczyznę — to wszystkie stany
Ukochać sercem swem jednakowo,
Pod dach ubogi, pod dach słomiany,
Nieść czyste serce, nieść czyste słowo,
Czynami swemi potęgą miłości
Przysparzać dobra w miarę sił, możności!

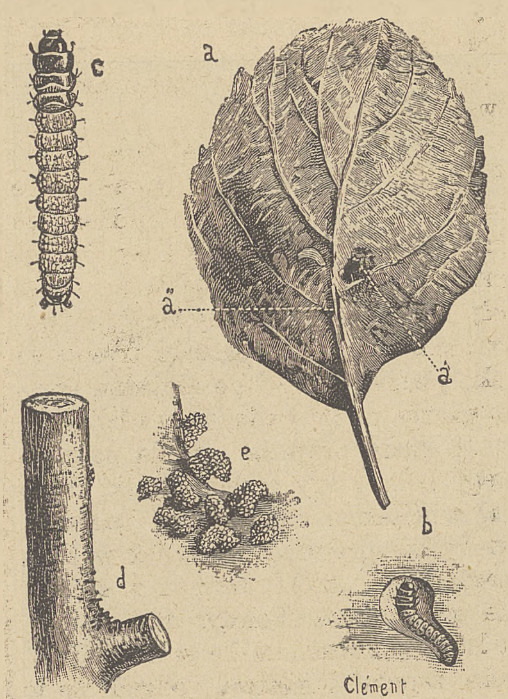
Władysław Karoli.

Niszczyciele jabłek.

(Z życia owadów).

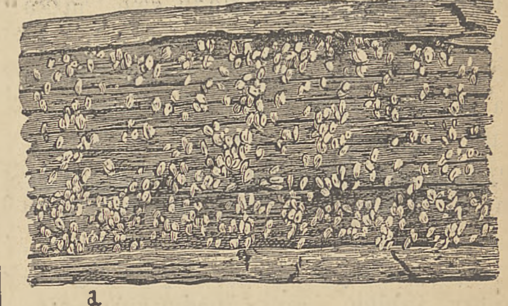
Ze wszystkich owadów, jakie zamieszkują ziemię, robaczek jabłkowy posiada najwięcej biografów, gdyż badano go we wszystkich krajach i klimatach ziemi, starając się nowemi spostrzeżeniami prostować dawne błędne opisy. A z rozwojem należytych o nim wiadomości, sposoby tępienia tego szkodnika uczyniono bardziej skutecznemi. Warto zaiste zabrać bliższą znajomość z temi owadami, które będąc nadzwyczaj licznemi, mogą naraz stać się istną plagą w ogrodownictwie.

Jest ich wiele. Naprzód z dwuskrzydłych (much) niejaki „Trypeta pomonella.“ Larwa jego osiedla się w



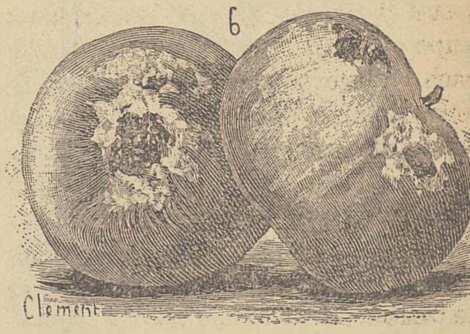
a, Liść z larwą Owocówki (Carpocapsa; a', punkt zajęty przez larwę; a'', chodnik wydrążony przez larwę; b, Anarsia, larwa; c, ta sama, powiększona; d, nakłucia, dokonane na korze; e, te same znacznie powiększone.

owocu, odznacza się brakiem nóg i wyraźnego przedziału między głową a piersiami, a poznać jej obecność łatwo po licznych a krętych kurytarzach, przebitych w poprzek jabłka. Inną znów larwą szkodliwą, której nie potrafią odróżnić osoby mało obznajmio-



Opaska ochronna, pokryta poczwarkami.

ne z etnologią, jest larwa wołka „Conotrachelus nenuphar“ (żuczek); wszakże przy dobrych chęciach poznamy go po tem, że posiadając głowę wyraźną, nie ma nóg; prócz tego jeszcze do określenia go wystarcza, jeżeli spostrzeżemy drzewiasto rozgałęzione chodniki, jakie wygryza przy składaniu jaj,

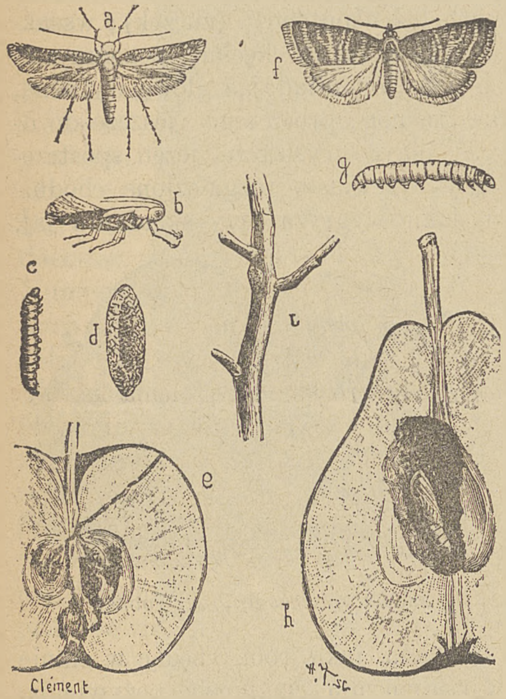


Jabłka zniszczone przez robaki.

i nakłucia, jakie robi, będąc w stanie dojrzałym dla ciągnięcia pożywienia. Wśród łuskoskrzydłych spotykamy również kilka motyli szkodliwych, naprzykład gatunki: „Plodia interpunctella“ i „Anarsia lineatella;“ ten ostatni mianowicie znany jest fermerom amerykańskim, jako „robak jabłkowy.“

Za opis tego motyla wystarczy załączony jego rysunek, więc go też pominiemy, zauważywszy tylko, że poczwarka jego jest mniejsza od poczwarek innych szkodników. Motyl „Plodia“ wraz z pokrewnym mu gatunkiem „Argyresthia“ sprawiają wielkie szkody w Ameryce Północnej. Larwa jego posiada koło 6 milimetrów długości, jest brudno-biała, z odcieniem czerwonym w czasie zupełnego rozrostu. Wygryza ona wewnątrz jabłka liczne galerye, które idą w rozmaitych kierunkach. Jako szczególnie szkodliwi mieszkańcy Japonii słyną motylki: „Laverna herellera“ i „Nephopterix rubizonella.“ Pierwszy z nich, znany także w Ameryce Północnej, będąc larwą przesiaduje jedynie w sercu owocu, gdzie pożera pestki.

Doszedłszy do stanu zupełnego rozwoju, larwy te wyłażą na zewnątrz i spadają na ziemię, tam oprzędzają się w kokon i zimują jako poczwarki; więcej nad jedno pokolenie w ciągu roku nie wydają. „Nephopterix“ wyrządza strat rocznie od 35 do 50 na 100 owocu w Japonii. Oto jak się drzewo niemi zaraża: samiczka składa swe jajka kupkami na drobnych gałązkach i liściach, stamtąd wylęgła larwa wpełza na pobliski owoc i wewnątrz jego zajmuje miejsce. Niszcząca działalność jejześrodkowywa się głównie w pobliżu jądra owocu. Stan larwowy tego motylka trwa trzy tygodnie lub więcej, oprzędanie się w kokon odbywa się wewnątrz jabłka, a zimę spędza on w stanie jajka — najbardziej opornym na zimno i słoty.



a, Laverna herellera (Wysterek) motyl; *b*, tenże — z profilu; tenże — larwa; tenże — oprzędek; *e*, jabłko zniszczone przez wyster a; *f*, Nephopteryx rubizonella (Mroczek) motyl *g*, jego larwa; *h*, oprzędek mroczka wewnątrz gruszki; *i*, gałązka z jajkami mroczka.

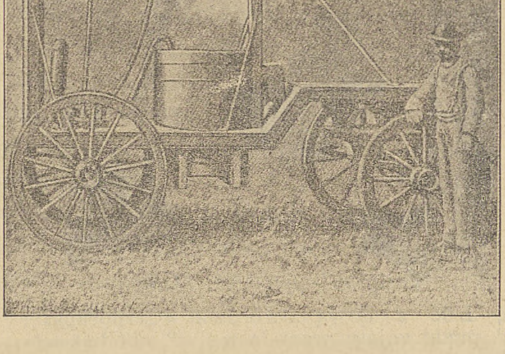
Wszystkie wymienione powyżej owady nie poprzestając na jabłkach, czepiają się niemal wszystkich drzew owocowych, a tylko jabłoniom przynoszą największe szkody. Lecz istnieje taki, który stale obiera sobie mieszkanie na samych tylko jabłoniach i urządza je w sposób odrębny. Owad ten nie został jeszcze określony, gdyż widzieć się dało zaledwie jego larwę. Całe zniszczenie prowadzi on na zewnątrz: przegryza skórkę owocu, a wnętrza nietyka, chyba niekiedy, lecz i to już źle wpływa na owoc, wystawiając go na chłodne i suszące wiatry.

Ten zwięzły opis nie wyczerpuje jeszcze całej liczby „robaków jabłkowych,“ jest ich więcej. Najlepiej znanemu i najszkodliwszemu z nich — motylkowi „Carpocapsa pomonella“ poświęcimy najobszerniejszy opis. Podobnie jak inne owady jest on wielo-



Opaski ochraniające drzewo od robactwa.

żerny, to znaczy, że prócz jabłoni wtarga także na grusze, śliwy, migdały a nawet orzechy. Bądź co bądź najbardziej uszkadza jabłonie i wszędzie, gdzie się pojawi, sprawia szkody ogromne, które rosną z każdym rokiem; w Stanach Zjednoczonych wynoszą one od ćwierci do połowy zbiorów. Następne miejsce w szeregu poszkodowanych drzew zajmują grusze — o stracie 20 na 100. Znano tego szkodnika już w starożytności, znają go i teraz po całej niemal ziemi. Skąd pierwotnie wyszedł, gdzie jego ojczyzna, niewiadomo — przypuszczalnie południowo-wschód Europy, skąd pochodzi jabłoń. Wraz z nią rozpowszechnił się wszędy — po całej Europie aż po Syberyę, obecność jego spostrzegano stopniowo w Australii, Tasmanii, N. Zelandyi, Afryce Południowej, Brazylii, Stanach Zjednoczonych wreszcie w Chinach. Rozpowszechnieniu jego nie można się dziwić, mając na uwadze niesłychany rozrost handlu międzynarodowego: statki i wagony roznoszą szybko po całym świecie transporty zarażonych jabłek.



Pompa do skrapiania dużych drzew, używana w sadach amerykańskich.

Kilka minut uwagi ze strony czytelnika pozwolą podzielić się z nim pewnemi spostrzeżeniami nad życiem tego motylka, co z pewnością odda niejakie przysługi w ogrodnictwie. Są to spostrzeżenia sprostowane. Jak wiadomo, samiczka jego składa jajka w czasie okwitania jabłoni, a przytwierdza je nie do ogonka, nie do korony owocu, jak dotychczas mniemano, lecz do liści a nawet kory, a zatem zdala od owocu, na powierzchni drzewa. Ile przemian przechodzi, ile pokoleń wydaje, nie sprawdzono jeszcze dokładnie; w każdym razie na północy Europy ogranicza się do jednego pokolenia, na południu zaś i w krajach cieplejszych wogóle liczą ich trzy i cztery nawet.

Liczba pokoleń pozostaje w zależności od roku i stanu temperatury. Bądź co bądź, przekonano się, że bardzo niewiele jaj pierwszej generacyi można znaleźć na owocach, podczas gdy druga umieszcza tam znaczny odsetek, a to dzięki zmianom, które zachodzą wtedy przy dojrzewaniu owocu. Jajek tych przypada około pięćdziesięciu na samiczkę, składanie ich trwa od dwóch do siedmiu dni, barwa zaś migocąca tęczowo, ulega zmianie z biegiem czasu. Po dniach przeciętnie dziesięciu młoda larwa, którą na dzień przed wykluciem można już było rozróżnić w jajku po znacznem rozrośnięciu się, przebija skorupkę, zjada ją i wychodzi. Teraz kieruje swe kroki ku owocowi, o ile już się tam nie znajduje, i przez resztki korony wchodzi wewnątrz. — Tylko larwy drugiego pokolenia wchodzą z boku jabłka przez otwór wygryziony w powierzchni, lecz rozpoczynają wyjadanie dopiero w środku. Po dojściu do zupełnego rozwoju larwa otwiera sobie wyjście przez jabłko po stronie przeciwnej. W taki sposób wycieńczone jabłko więdnie, spada i znajduje się na ziemi właśnie wtedy, kiedy gąsienica kończy swe przemiany i opuszcza je. Rozwój dalszy następuje zwykle w ziemi, a zatem zimę spędza owad w ziemi, a w razie, jeżeli jabłko nie spadło, w szparach kory. Następna przemiana odbywa się dopiero w maju lub czerwcu roku drugiego. Brunatna poczwarka, skąpo uwłosiona na końcu odwłoka, po trzech mniej więcej tygodniach przemienia się na motyla. Ten znów znosi jajka i cykl się powtarza od początku.

Pewne gatunki jabłek są bardziej narażone na wtargnięcie tego lub owego owadu, niż inne; pozostaje to w związku z warunkami miejscowymi i z własnościami gleby. Istnieje reguła, że owoce twarde, które dojrzewają późno, mniej cierpią na tych nieproszonych lokatorach, niż te, które dobiegają kresu dojrzewania równocześnie z drugiem pokoleniem owadów. Co się tyczy wiercenia kanałów w jabłku, to według wszelkiego prawdopodobieństwa, jest to zwyczaj nabyty, gdyż larwy Carpocapsa zamieszkiwały zwykle powierzchnię liści. W rzeczy samej profesor Card zauważył, że młode larwy, w niewoli trzymane, gryzły liście. Wyrażają nawet przekonanie, że gdyby im dawać same tylko liście jabłoni, to owady poprzestałyby na nich.

Powyższe szczegóły biologiczne są więcej, niż zaciekawiające, ponieważ dają wskazówki, jakich środków użyć do tępienia i kiedy najlepiej je stosować. Z pośród nich, prócz pierścieni lepkich i przekopywania ziemi zaleca się skrapianie drzew. Co jednakże z łatwością daje się uczynić w pracowni zoologicznej, kiedy idzie o wypróbowanie wpływu środków chemicznych na jajka owadów, to połączone bywa z wielkiemi trudnościami w razie działania, na otwartem powietrzu. Cała nasza akcya skierowywa się tylko przeciw larwom i motylom, lecz ponieważ jajka składane bywają na wszystkich częściach rośliny, a larwa wykluwszy się wgryza się w owoc, więc i pień i gałęzie i liście i owoce winny uledz opryskaniu. Najlepszą trucizną jest kwas siarczany, użyty w ośmio lub dziesięciodniowych odstępach, natychmiast po okwitaniu, wszakże przed zupełnem zamknięciem kielichów kwiatowych. Amerykanie, lubiący urządzać wszystko na wielką skalę, zbudowali na ten cel całą maszynę — pompę z wysokim pomostem, przewożoną na kołach. Skrapianie jest dobre, póki larwa nie dorosła, lecz gdy się zbliży przemiana na poczwarkę, wtedy wypadnie uciec się do wybierania owoców zarażonych i do pierścieni ze smoły dla tych larw, które nie spadły, co zmusza larwy do schodzenia po pniu piechotą. Więzną one w takim pierścieniu i giną. Pod opaską zaś z płótna, w zagłębieniach kory, odwrotnie, znajdują schronienie i zbierają się w wielkiej ilości ze wszystkich miejsc drzewa; zdejmując opaski, można z łatwością zniszczyć ich mnóstwo.

Może te kilka szczegółów co do życia szkodników jabłkowych i sposobów ich zwalczania staną się użyteczne dla czytelników i znajdą zastosowanie w ogrodach naszych. *R. W.*

Nowa
straszna katastrofa.

Pierwsze lata bieżącego stulecia zaliczą kiedyś dziejopisarze do niezwykłych pod każdym względem. Hasłem ich jest przewrót. Państwa, narody, klasy społeczne walczą o nowe formy bytu, a zapasy te odbywają się z gorączkową szybkością. — Przypadek zrządził, że równocześnie w przyrodzie odbywają się gwałtowne przewroty, że ślepe żywioły występują również do walki, siejąc dokoła zniszczenie. Lata katastrof i kataklizmów pośród ludzi i rzeczy. Wulkan Mont Pele niszczy wyspę Martynikę, olbrzymie trzęsienie ziemi nawiedza południowe Włochy, wybuch wulkanu i trzęsienie ziemi pochłania setki ofiar na wyspie Formozie, a wreszcie Wezuwiusz przez 8 dni płonącą lawą i deszczem popiołu pali i zasypuje śmiertelnym całunem jednę z najpiękniejszych okolic na świecie. Zdawało się, że serya katastrof dobiegła końca, że rozszalałe żywioły przestaną grać na nerwach ludzkich, gdy nagle z Ameryki północnej nadchodzą wiadomości o nowej katastrofie, spowodowanej przez trzęsienie ziemi.

Katastrofa w San Francisco.

Ogniskiem trzęsienia ziemi był wedle dotychczasowych wiadomości stan Kalifornia nad oceanem Spokojnym, a największe zniszczenie dotknęło stolicę tego stanu, miasto *San Francisco*. Pierwsza wiadomość, która nadeszła telegraficznie do Nowego Jorku, już była zapowiedzią wielkiej katastrofy. Według tego telegramu dnia 18 b. m. o godzinie 5 min. 13 rano powstało w San Francisco trzęsienie ziemi, które trwało tylko trzy minuty. Już wtedy obliczono, że kilka tysięcy domów zostało bądź uszkodzonych, bądź zupełnie zniszczonych, tudzież stwierdzono, że w kilku punktach miasta wybuchły pożary. Ale już następna depesza doniosła, że trzęsienie ziemi zniszczyło 8 połaci domów w dzielnicy fabrycznej, która stanowi północno-wschodnią część miasta, przyczem stwierdzono już, że zginęło kilkaset osób.

Tymczasem o godzinie 8 rano nastąpiło drugie trzęsienie, które powiększyło rozmiary klęski, chociaż trwało niedługo. O godzinie 11 rano wysłana depesza do Nowego Jorku dała już przejmujące grozą szczegóły katastrofy. Wszystkie połączenia telegraficzne z wyjątkiem jednego zniszczone przez trzęsienie ziemi. Także rury wodociągowe i gazowe zostały poprzerywane. Pożar się rozszerzył. Ratusz, który kosztował siedm milionów dolarów, leży w gruzach. Panika wśród ludności nie do opisania. — Z wielu domów mieszkańcy uciekli tylko w strojach nocnych. Wiele domów zawaliło się ze strasznym hukiem, grzebiąc pod gruzami wszystkich mieszkańców. W hotelach w śródmieściu zapanował straszny popłoch. Położenie utrudniało jeszcze to, że wszystkie zakłady oświetlenia tak gazownie jak elektrownie zostały równie zniszczone.

Takie straszne skutki wywołało w pierwszej chwili trzęsienie ziemi, reszty miał dokonać pożar, który przybrał przerażające rozmiary. Depesza, wysłana o godzinie 2 i pół po południu do Nowego Jorku donosi, że cała część miasta, widoczna od strony morza, stoi w płomieniach, które szybko się rozszerzają. Jeżeli nie przyjdzie wiatr zachodni, całemu miastu grozi niebezpieczeństwo. Zawalił się pięciopiętrowy hotel, grzebiąc pod gruzami 70 osób. Trzy inne hotele spłonęły. Zawalił się też jeden wielki dom, przyczem 80 osób straciło życie. Także hotel „Palace“ stoi w płomieniach. W południowej części „Markot Street“ eksplodował zbiornik gazu, wywołujący nowy pożar. Banki są zamknięte. Na ulicach patroluje wojsko, które otrzymało rozkaz zastrzelenia każdego, kogo pochwyci na kradzieży. Przy tak olbrzymich rozmiarach pożaru akcya ratunkowa jest niezmiernie utrudniona, a w dodatku brakuje wody. Wobec tego straż ogniowa wysadza domy w powietrze, ażeby powstrzymać dalszy pochód płomieni.

Dalszy telegram z San Francisco z dnia 20-go b. m. donosi, że liczba zabitych wynosi kilkanaście tysięcy. Dzielnica chińska jest zburzona. Po pierwszem trzęsieniu ziemi Chińczycy w dzikiej panice wybiegli ze swojej dzielnicy ku skwerowi Portsmouth, wyjąc jak szaleńcy. Tu spotkali się z uciekającymi z dzielnicy hiszpańskiej, włoskiej i meksykańskiej i rozpoczęli z nimi krwawą bójkę, która trwała kilka godzin, aż wojsko za pomocą bagnetów przywróciło spokój.

Dnia 20-go b. m. o godzinie 3 i pół z rana dało się znowu czuć w całej Kalifornii południowej dwukrotne silne trzęsienie ziemi.

Pożar w San Francisco sroży się coraz bardziej, położenie jest rozpaczliwe. Nie ma nadziei, aby którąkolwiek część miasta ocalić.

Telegram, który z San Francisco otrzymał urząd skarbowy w Waszyngtonie, a więc źródło urzędowe, stwierdza, *że miasto zostało przez pożar zupełnie zniszczone.*

Śmierć 260 Polaków.

Telegram z Londynu donosi, że

tamtejszy dziennik „Morning Leader“ otrzymał z San Francisco następującą wiadomość: Podczas zapadnięcia się katedry św. *Ignacego 260 Polaków, którzy tam byli na nabożeństwie, zostało pogrzebanych pod gruzami.*

Z telegramu tego nie wiadomo, w którym dniu nastąpiła ta katastrofa i czy była skutkiem trzęsienia ziemi, czy pożaru.

Polskie pisma z Ameryki przyniosą dokładne wiadomości o tem nieszczęściu, ale w Poznaniu otrzymamy je dopiero za kilkanaście dni.

Zginęła podobno Marcela Sembrich Kochańska wraz z innymi sławnymi śpiewakami operowymi, którzy gościli w San Francisco, chociaż wieść ta dotychczas niesprawdzona.

Jak przypuszczać można z szerzenia się pożaru, do dnia 20-go b. m. około 300 000 ludzi było już bez domu. Prawdopodobnie wybuchnie klęska głodowa.

Izba reprezentantów w Waszyngtonie podwyższyła uchwalone przez senat wsparcie pieniężne w kwocie 500 tysięcy dolarów na milion dolarów, senat zgodził się na to podwyższenie. — Prezydent Roosevelt ogłosił urzędową odezwę, wzywającą do wspierania nieszczęśliwych w San Francisco.

We wszystkich częściach kraju burmistrzowie miast ofiarują wielkoduszną pomoc dla nieszczęśliwych. Szef sztabu generał Bell rozporządził, aby z rozmaitych miast przesyłano jak najprędzej pomoc do San Francisco. Ofiarowali pomoc burmistrz Nowego Jorku i prezydent nowojorskiej izby handlowej, również ofiarowano pomoc z Filadelfii, Pittsburga, Duluth i Chicago. Towarzystwo Czerwonego Krzyża postanowiło zbierać składki.

Pogłoski o uszkodzeniu floty Oceanu Spokojnego wskutek trzęsienia ziemi nie sprawdziły się. Generał Funston wezwał jednakże wydział wojenny, by nadesłano jak największe zapasy żywności, ponieważ przeszło 300 tysięcy ludzi zostało bez dachu i żywności. Sekretarz państwa wysłał 10 milionów dolarów do San Fracisco.

Do Oakland przybywają uciekający z innych miast kalifornijskich. Miasta Santa Cruz, Montery, Gilroy i Hollister są zburzone. Liczba zabitych w Santa Cruz jest znaczna. W Santa Rosa jest 200 osób zabitych a 10 000 bez domu. Z pod gruzów domu obłąkanych w Agnew pod San Jose wydobyto 120 zwłok, dalszych 150 jest prawdopodobnie jeszcze zasypanych gruzami. W Oakland wiele budynków jest znacznie uszkodzonych, 5 osób jest zabitych.

W San Francisco są zburzone między innemi gmachami kościół i kolegium św. Ignacego, jeden z największych instytutów jezuickich, którego budowa kosztowała 2 miliony dolarów.

Z Sakramento donoszą, że przedmieście Santa Rosa jest zburzone wskutek trzęsienia ziemi. Zginęło przeszło 200 osób.

Znaną miejscowość kąpielową Terminal Island spustoszyło wzburzone morze. Z domu obłąkanych uciekło 700 chorych. Kalifornijskie pola naftowe są bardzo uszkodzone.

* * *

San Francisco, w skróceniu Frisco, największe miasto w stanie Kalifornia, na zachodniem wybrzeżu Stanów Zjednoczonych, a wschodniem oceanu Spokojnego, leży na końcu półwyspu San Mateo, mając od zachodu wody oceanu,od wschodu zatokę San Francisco, od północy zaś fale „Złotej bramy“. San Francisco liczyło w roku 1846 tylko sześciuset mieszkańców, których liczba w roku 1890 wzrosła do 298 997. Łagodny klimat, który w lecie nie dochodzi do upałów, a w zimie do śniegu, czyni te okolice prawdziwym rajem. San Francisco, liczące mnóstwo pięknych gmachów publicznych i prywatnych, kościołów, przeróżnych zakładów naukowych i użyteczności publicznej, 11 wielkich teatrów, 39 szpitali, posiada ogromny handel. Wywóz pszenicy, żyta, mąki, wina idzie przeważnie do Europy, przywóz obejmuje przeważnie cukier, kawę, herbatę, jedwab, żelazo, tytoń, węgle itd. — W roku 1893 wartość wywozu z San Francisco wynosiła 120 milionów dolarów, przywozu 72 miliony.

Obszar trzęsienia ziemi.

Jeżeli uwzględnimy wstrząśnienia, których ludzie nie odczuli, a tylko zaregestrowały osobne do tego celu służące przyrządy, to w takim razie trzęsienie ziemi objęło całą Amerykę. Seismografy drgały jeszcze przez dwa dni, wskazując, że wstrząśnienia trwały jeszcze do tej pory.

Z Chicago donosi „Union Pacific Railway Company“, że wszystkie połączenia telegraficzne, będące jej własnością, a położone na zachód od Ogden, są zniszczone. Obszar, objęty silnem trzęsieniem ziemi, jak się zdaje, wynosi kilkaset mil kwadratowych. Telegram z Sacramento w stanie Kalifornia donosi, że linia kolejowa pomiędzy Saisun a Banicia zapadła się na długości 3 mil. W Stockton, także w stanie Kalifornia, runął most kolejowy.

Z kaliforniejskiego miasta Los Angelos nadeszła lakoniczna depesza, że zginęło tam około 1 000 osób. Innych szczegółów telegram nie podaje. Los Angelos, położone w południowej Kalifornii, założone zostało w roku 1780 i liczy obecnie przeszło 50 tysięcy mieszkańców. Będąc węzłem 6 kolei, stało się olbrzymim składem dla płodów rolnictwa i ogrodnictwa całej okolicy, posiadając przytem znaczny przemysł.

Ogólne uwagi

Trzęsienie ziemi, które nawiedziło zachodnie wybrzeża równie Ameryki północnej, jak środkowej i południowej, tylko w nieskończenie rozmaitych stopniach, ma widocznie związek z działalnością wulkanów, których szereg cały rozmieszczony jest wzdłuż tych wybrzeży. W ostatnich czasach nadchodziły częste doniesienia o wybuchach wulkanów, zwłaszcza w zachodnich okolicach Ameryki środkowej, co widocznie zostaje w przyczynowym związku z obecnem trzęsieniem ziemi. Znany astronom Meyer, pisząc o wybuchu Wezuwiusza, zwrócił uwagę, że od ostatniego jego wybuchu do obecnego minęło właśnie 34 lat, co stanowi peryod zmian w plamach słonecznych, którym przypisują wpływ na działalność podziemnych sił.

Nad grobem dzielnego patryoty ś. p. Józefa Runowskiego,

skarbnika Okręgu V. Sokołów polskich w p. n., prezesa Tow. gimn. Sokół w Berlinie i t. d.

We Wielki Piątek rozeszła się w kolonii tutejszej smutna wiadomość, że prezes nasz nie żyje. Wiadomość o śmierci młodego a dzielnego współobywatela przyjęto wszędzie z bólem i żałobą. Jak rozległą była działalność zgasłego tak przedwcześnie młodego patryoty dowodzą liczne wspomnienia pośmiertelne różnych organizacyi i Towarzystw.

Prócz urzędów w Sokolstwie miał nieboszczyk prezesurę najwyższej organizacyi politycznej w Berlinie, — Komitetu Politycznego na Berlin i Brandenburgią. — Dalej piastował urzędy komisarza „Straży“, wiceprezesa Związku Tow. berlińskich, członka zarządu Związku Kat. Tow. Robotników Polskich, a dawniej był przez pewien czas prezesem Tow. Śpiewaków „Harmonia“ i wiceprezesem Tow. “Przemysłowców Polskich“.

Sp. Runowski należał do obozu demokratyczno-narodowego. Miał jako polityk swych przeciwników, którzy nie zgadzali się z nim i występowali nieraz ostro przeciw jego poglądom; nie było jednakowoż nikogo, ktoby nie uchylił czoła przed nim jako działaczem narodowym, jako pracownikiem wytrwałym, jako charakterem czystym.

Jako współpracownik w każdem stowarzyszeniu zdobywał serca i cześć wspaniałą wymową, niezmordowaną nigdy pracą, wielkim żarem serca i gorącą miłością Ojczyzny. Mimo swych młodych lat, liczył dopiero 31 lat życia, był politycznie wyrobionym a to co umiał, zdobył o własnych siłach, samokształceniem i pracą w Towarzystwach. Odznaczał się żywem zainteresowaniem dla Sokolstwa.

Nie dziw, że w pogrzebie człowieka tej miary wzięła udział cała kolonia berlińska a reprezentanci różnych stronnictw i stowarzyszeń złożyli rzetelny hołd pamięci zasłużonego obywatela-patryoty. Cmentarz w Weissensee zapełniony był 5—6 tysięcznym tłumem, wśród którego każdy miał na ustach słowa żalu z powodu zgonu jednostki, wybitnej zdolnościami i serdecznem a czynnem ukochaniem ideałów narodowych. Reprezentowane były licznie Tow. berlińskie, charlottenburskie i z okolicy. „Sokół" berliński, którego zmarły był od Nowego Roku prezesem, stanął w komplecie. Krótko po godzinie 5-tej po poł. ruszył kondukt żałobny. Sześciu druhów gniazda berlińskiego niosło trumnę na miejsce wiecznego spoczynku. Na czele pochodu szło 11 sztandarów narodowych, za niemi postępowały deputacye z wieńcami. Przed trumną postępował Wydział Okręgu V Sokołów polskich, Zarząd Tow. gimn. „Sokół" i jego członkowie. Sokoli w długim sznurze zamykali pochód Towarzystw.

Gdy trumnę spuszczano do grobu, pochyliły się nad nią sztandary. W wielu oczach zarosiła się łza żalu. Po ceremoniach kościelnych odśpiewano rzewną pieśń: „Witaj Królowo", poczem „Harmonia" wykonała piękną pieśń żałobną. Gdy przebrzmiały dźwięki pieśni, przemówił nad otwartą mogiłą w imieniu kolonii berlińskiej druh Karol Rose. W mowie wygłoszonej z uczuciem i rozrzewnieniem, przedstawił mówca wielce dodatnią i pożyteczną działalność zmarłego młodego obywatela. I znowu łzy cisnęły się do oczu, gdy mówca przy końcu wskazał na chylące się ku trumnie sztandary narodowe i na wyrywające się ku niej serca tysięcy rodaków i silnie podkreślił, że obecni czują, iż nie było jałowem życie, które takie budziło uczucie.

Pochyliły się po raz trzeci sztandary i skończyła się żałobna uroczystość a na trumnę zaczęły się sypać grudki ziemi, rzucane przez wszystkich, którzy cenili wysoko pełną poświęcenia obywatelską pracę patryoty — obywatela.



Ś. p. Józef Runowski.

Cześć jego pamięci! *C.*

Berlin, 22. 4. 06.

Do mowy rodzinnej.

Mowo rodzinna! Ty skarbów źrenicie!
Pełna królewskiej powagi i cześci,
Wnikasz w narodu serce, w jego życie,
Głosisz czyn, zapał, radość i boleści;
O każde słowo, które w pętach kona
Walczysz, każdego strzeże twa obrona.

Z liter składanych, z wyrazów pacierzy
Z pieśni, płynących za natchnień podmuchem,
Z głosów choralnych i z haset rycerzy,
Płynie moc, naszym kierująca duchem,
A że prowadzi naród w drogi Boże,
Więc onej siły nikt zwalczyć nie może.

Na swym, czy obcym rozkwitasz zagonie,
Tu, czy tam życia roztaczasz konary,
Wszędzie ku tobie chylim się w pokłonie
I przysięgamy dochować ci wiary.
Żeś taka zdrowa, silna, niezwalczona,
Mowo rodzinna! bądź błogosławiona.

Dzierżymir (M. Kierska.)

Jaki pokarm jest stosunkowo najtańszy?

W czasach dzisiejszych, w których wszystko drożeje, a w znacznej mierze i środki spożywcze człowieka, szczególnie mięso, z pewnością zaciekawi pytanie, jakie pokarmy są najtańsze, rozumie się w stosunku do ich wartości odżywczej. Pierwszeństwo pod tym względem trzeba oddać — mleku. — Udowadniają to badania i obliczenia chemików. Ogólnie mniema się, że nadzwyczaj pożywnem jest n. p. jaje; a jednak potrzeba aż 4 do 5 jaj (zależnie od ich wielkości) dla wyrównania wartości spożywczej pół litra mleka. Kto temu nie wierzy, niechaj przeliczy następujące dane: jaje kurze waży przeciętnie bez skorupy 47 gramów; 5 kurzych jaj waży więc 235 gramów. Białka, tłuszczu, składników mineralnych i nieco cukru mlecznego zawiera jaje 26,5%, a więc 235 gramów jaj kurzych zawierają 61 gramów substancyi odżywczych, reszta to woda.

Mleko zawiera 11,5% substancyi odżywczych jak białko, tłuszczu a szczególnie cennego cukru mlecznego. Pół litra mleka waży 515 gramów, a zawiera wedle wyżej powiedzianego 59 i pół g. substancyi odżywczych. Zatem więc pół litra mleka jest prawie tak samo pożywne, jak 5 kurzych jaj. 5 jaj kosztuje tanio licząc najmniej 30 fenygów, pół litra mleka natomiast najwyżej 10 fen., a we wielu okolicach 9 a nawet 8 fen., czyli że jaja są 3 do 4 razy droższe od mleka. Inne pokarmy są jeszcze droższe, i tak płaci się n. p. za mięso za równą ilość substancyi odżywczych co w pół litrze mleka: 50 do 80 fen.

Z tego widzimy, jakie znaczenie gospodarcze posiada mleko. Jeżeli weźmiemy pod rozwagę, że człowiek w pierwszym roku swego życia się żywi wyłącznie tylko mlekiem, że jedyny ten pokarm zupełnie wystarcza do budowy ciała w ciągu jednego roku i to w sposób tak silny, w jaki się nigdy nie odbywa w tak krótkim przeciągu czasu, to powinniśmy wyciągnąć więcej korzyści z ekonomicznych zalet mleka. Rozumie się, że nie można żądać, aby dorosły się żywił wyłącznie mlekiem, jak niemowlę; dla starszego dziecka i dorosłych zawiera mleko za dużo płynu, lecz jako napój i przedewszystkiem jako dodatek do innych potraw, zwłaszcza do ziemniaków owocu, mąki, ryżu, kakao itp., zasługuje mleko na znacznie większą uwagę, i to ze względów na zdrowotność i... sakwe

„Przewodnik zdrowia."

Komu alkohol szkodzi?

Na pytanie to odpowiada „Miesięcznik dla popierania ruchu wstrzemięźliwości“ w następujący sposób: 1) Kościołowi, bo ludzie najwięcej grzeszą w pijaństwie, przekraczają przykazania Boskie i przez to robią Kościołowi wstyd i hańbę; 2) Społeczeństwu, bo lud przez picie co raz gorszy, bo rosną koszta sądowe, koszta na utrzymanie więzień, domów obłąkanych itd.; 3) Policyi, bo ma utrapienie z pijakami, 4) Organizacyom robotniczym, bo pijaństwo sprowadza wiele nieszczęść przy pracy, bo robotnik pijący jest niedbały, bo z pijakami ciągle kłótnie i kłopoty; 5) Gminie, bo ma wydatki na sieroty, na wdowy, na ubogich po pijakach itd. — bo porządni ludzie muszą także za pijaków podatki płacić; 6) Robotnikom, bo alkohol odbiera chęć i siłę do pracy, bo wypróżnia on kieszeń i zmniejsza zarobek; 7) Gospodarzom, bo gospodarz pijak zaniebuje rolę, dom, bydło, bo on przepija, co powinien użyć na lepsze pługi, nawozy itp., bo go czeladź nie poważa i nie słucha; 8) Rzemieślnikom, bo pijacy źle jedzą, liche noszą ubrania i puste mają mieszkania, dla tego od nich ani kupcy, ani masarze, ani krawcy i szewcy wiele nie zarobią; 9) Kobietom, bo pijący mąż nie wiele zarobi, bo w domu smutno, bo mąż klnie, bluźni, bije, szaleje; 10) Dzieciom, bo żyją zaniedbane, bo cierpią głód, bo muszą przed ojcem uciekać, wstydzić się go, bo marnieją; 11) Młodzieży, bo alkohol psuje lepsze ich skłonności a także wszystkie ich zabawy, sprowadzając kłótnie i dzikie bijatyki. Bez alkoholu byłoby życie milsze, weselsze; 12) Pijakom, bo im odbiera grosz, rozum, zdrowie, wolę, honor, wstyd, miłość, wiarę, zbawienie; 13) Trzeźwym, bo życie między pijakami jest przykre, nawet wstrętne, bo świat z powodu alkoholu tak jest pełny nędzy i płaczu, aż się serce krwawi na widok tej jawnej i kryjącej się zgrozy.

Nasza ofiarność.

Szanownym Czytelnikom przypominamy powyższą rubrykę składanych ofiar na różne cele narodowo-humanitarne, prosząc ich, aby przy wszelkiej nadarzającej się sposobności nie zapomnieli o „naszej ofiarności“ *tak na fundusz jubileuszowy Towarzystwa Czytelni ludowych jak też na wszelkie inne cele, na które składki zbieramy* (patrz podrzędnie numera „Pracy“.)

Na fundusz jubileuszowy „Czytelni Ludowych“: p. W. Bratkowski w Nadrenii 2 mrk. 50 fen; razem złożono dotąd 7 mrk.

Na odbudowanie kościoła w Wieszczycznie: p. P. Giera z Czaca pod Śmiglem 9 mrk. 50 fen.

* * *

Wieszczyczyn. Aby dopomódz parafianom do odbudowania spalonego kościoła, przesłali na moje ręce:

Ks. prob. Maciejewski z Mórki 10 mrk; N. N. z Bytomia 5 m; p. Antoni Michalski z Podrzekty 10 mrk., p. K. Offierski z Poznania 10 mrk., p. Walenty Ruszkowski z Rusocina 5. mrk., p. Idaszewski z Pyszącej 10 mrk., ks. dziekan Mędlewski z Parkowa 20 mrk., ks. proboszcz Jezierski z Kunowa 25 mrk., Maryanna Koralewska 2 mrk., p. hr. Potulicka z Potulic 50 mkr., N. N. z Pawłowic 3 mrk., ks. prob. Wiśniewski z Mchów 50 m., p. Osowidzki z Wojtostwa od siebie 30 mrk., od ludzi 11 mrk., p. Wojciech Cyfert z Masłowa 10 mrk., p. Strachanowski z Lubiatówka 50 mrk., p. Walerya Wypych z Kościana 5 mrk., p. Pętkowska z Poznania 2 mrk., p. hr. Żółtowski z Nekli 40 mrk., dzieci szkólne z Masłowa 4,50 mrk., Kostka Kołacka z Wieszczyczyna 2 mrk., N. N. z Wrześni 5 mrk., p. Cybiński z Krotoszyna 3,05 mrk., ks. L. C. 20 mrk., p. Roman Jankowski z Gębic 5 mrk., Wiel. siostry z Grodziska 6 mrk., p. A. Nowakowski, em. naucz. z Poznania 5 mrk., p. Ignacy Krótki ze Środy 6 mrk., ks. prob. Karol Meissner z Międzychowa 5 mrk., ks. prob. Walich z Góry 5 mrk., N. N. ze Śremu 10 mrk.. N. N. ze Śremu 15 mrk., od panien ze zakładu p. Szczerbińskiej w Śremie 20 mrk., p Weronika Bogdanowska ze Śremu 24 mrk., p. Wiktor Kozłowski ze Śremu 2 mrk; p. Aleksander Niedzielski ze Śremu 10 mrk. p. Kachlicka ze Sremu 2 mrk., ks. Poprawski z Kłecka 3 mrk., p. dr. Karchowski z Książa 15 mrk, ks. radzca Mojzykiewicz z Przementu 50 mrk., p. Jan Pienczak ze Sosnowca 2 mrk. pan Ludwik Hoffmann z Gniezna 5 mrk., pan Koralewski z Pyszący 3 mrk., N. N. z Łążku 10 mrk., N. N. z Łążku 10 mrk., N. N. z Poznania 20 mrk., ks. prob. Nowak z Panienki od siebie i parafian 30 m., p. Stan. Szychalski z Opola 3 m., p. aptekarz Grabowski z Dolska 10 mrk., pan Walczak z Dolska 10 mrk., p. Bolesław Feldmann z Kalisza 5 mrk., p. Stefan Gólcz z Domachowa 3 mrk., ks prob Gałdyński z parafii brodnickiej 100 mrk., ks. Wiśniewski z parafii mchowskiej 100 m., p. Stanisław Kulczyński ze Świerkówek p. Wargowo 3,10 mrk., p. Marya Włodarczak z Będlewa 10 mrk., p. Władysław Lampa ze Sremu 5 tysięcy cegieł.

Prześwietna Kapituła Poznańska darowała kielich srebrny z pateną, 4 ornaty, albę i 3 komże; Wiel. siostry z Gostynia ofiarowały 2 ornaty, bursę, stułę, albę, komże i znaczną liczbę bielizny kościelnej; ks. radzca Michalski z Poznania cenną stułę i 2 komże, arcybractwo adoracyi Najśw. Sakramentu 2 kapy i nieco bielizny kościelnej, J. P. z Karmina albę, ks. dr. Noryśkiewicz ze Śremu piękną stułę i komże; Wiel. siostry ze Śremu mnóstwo bielizny kościelnej, zakład pani Szczerbińskiej ze Śremu dostarczył pokaźną liczbę korporałów, puryfikaterzy, ręczników, p, Z. S. z M. puszkę, p. Moszczeńska z Brudzynia kielich z pateną, p. Krzysztoporska 2 komże i 4 płaszczyki dla ministrantów, p. Jarmużowa z Obredy 2 obrusy na ołtarz, p. A Robińska z Poznania albę, p. M. N. z Poznania albę. zakład św. Wojciecha z Poznania 2 stuły, burse, sukienkę na puszkę, 3 komże, 2 płaszczyki dla ministrantów i sporo bielizny kościelnej, Wiel. siostry w Zdunach 2 ornaty, 4 komże, albę, 18 puryfikaterzy i mnogo bielizny kościelnej.

Wspaniałomyślnym ofiarodawcom składam w imieniu mojem i parafian szczere podziękowanie, Za wszystkich, którzy modlitwą albo datkiem przyczynią się do odbudowania świątyni Pańskiej, *odprawiać będę każdego miesiąca mszę św. dopóki nie stanie kościół.*

Wieszczyczyn pod Masłowem, 18 kwietnia 1906. pow. śremski.

Ks. Walenty Nowicki.

Nekrologia.

† S. p. *Łukasz Banza*, dnia 14-go b. m. w Wiecanowie w 88-ym roku życia.

† S. p. *Marya z Nowickich Gałęcka*, dnia 11-go b. m. w 48-ym roku życia w Poznaniu.

† S. p. *dr. Maksymilian Kawczyński*, profesor uniwersytetu, dziekan fakultatu folozoficznego oraz członek Akademii Umiejętności, dnia 12-go b. m. w Krakowie.

† S. p. *Leon Bratkowski*, nauczyciel pozasłużbowy, dnia 18 go b m. w Budzyniu w 80 tym roku życia.

† S p. *Dorota Sujkowska*, dnia 18 go b. m. w Sępolnie (Prusy Zach).

† S. p. *Seweryn Tuchołka*, pozasłużbowy dyrektor sądu ziemiańskiego, dnia 20-go b. m. w Poznaniu w 89-ym roku życia.

† S. p *Anna Linke z domu Mandlik*, dnia 20-go b m. w Dąbrówce kościelnej, przeżywszy lat 73

† S p. *Wojciech Ratajczak*, dnia 21-go b. m. w Poznaniu w 69-ym roku życia.

† S. p. *Tadeusz Wimecki*, dnia 21-go b. m. w Czarnkowie w 21-ym roku życia.

† S. p. *Walenty Buszkiewicz*, dnia 8-go b. m. w Warszawie.

Dział szaradowy.

Łamigłówka do nagrody.

o ❋ ❋ ❋ ❋ ❋
❋ o ❋ ❋ ❋ ❋
❋ ❋ o ❋ ❋ ❋
❋ ❋ ❋ o ❋ ❋
❋ ❋ ❋ ❋ o ❋
❋ ❋ ❋ ❋ ❋ o

Litery, idące ukośnie od lewej do prawej ręki, składają nazwę miasta na terenie ostatniej wojny na dalekim Wschodzie.

1. Artysta.
2. Mieszkaniec gorących krajów.
3. Bunt.
4. Ubranie wojskowego.
5. Przedmiot służący do pisania.
6. Rzeka na Litwie.

Rozwiązania nadsyłać należy do dnia 5-go maja.

Dział rolniczo-ekonomiczny.

Ligi kupujących.

W Francyi i Szwajcaryi istnieją w wielu miastach tak zwane „ligi kupujących“. Warto im się bliżej przypatrzeć, gdyż cel, który sobie stawiły, jest równie szlachetny, jak oryginalnym jest sposób, za pomocą którego starają się go urzeczywistnić. Liga taka robi starania, aby byt pracowników w handlu i przemyśle polepszyć i pracę ułatwić. W tym celu ustanawia ona pewien zasób żądań i zwraca się z niemi do firm handlowych i przemysłowych. Żądania te są oczywiście zastosowane do charakteru pojedyńczych instytucyi; od składów fabrycznych wymaga się czegoś innego, niż od małych składów. I tak n. p. dla fabryk czekolady, wiadomo, że wyrób czekolady stanowi jednę z najważniejszych gałęzi przemysłu szwajcarskiego — ogłoszono następujące normy:

1. Maksimum pracy nie powinno przekraczać 10 godzin (prawo dozwala 11 godzin).

2. Zakaz zatrudniania dzieci poniżej lat 15.

3. Minimum płacy dla robotnic wynosić powinno po dwóch latach dwa franki dziennie.

4. Opieka dla chorych i położnic.

5. Ścisłe wykonanie wszelkich przepisów prawnych, tyczących ochrony robotnika, święcenia niedzieli itd.

Firmy, warunkom ustanowionym przez ligę zadosyć czyniące, ogłasza się w tak zwanej liście białej. Lista taka tworzy oczywiście wyśmienitą reklamę dla wymienionych w niej firm. Kogo w liście tej pominięto, ten dostaje się jakoby na — nieistniejącą w rzeczywistości — czarną listę. Chęć dostania się na białą listę zmusza owe firmy do poddania się normom ligi. Tak to pomysłowość działaczy społecznych umie nawet egoizm kapitalistyczny dla celów swych szlachetnych wyzyskać!

Ale działalność ligi nie ogranicza się na tym jedynie nacisku, wywieranym na producentów. Zwraca się ona także do konsumentów: do członków swych i nakłada im następujące obowiązki:

1. Nie robić zamówień, pociągających za sobą pracę nocną lub niedzielną.

2. Nie robić zamówień w ostatniej chwili, n. p. krótko przed Bożem Narodzeniem.

3. Nie żądać od kupców, by przysyłali zakupiony towar do domu po godzinie 7-mej wieczorem lub w niedzielę rano.

4. Każdy rachunek natychmiast płacić lub przynajmniej w pewnych terminach.

Działalność ligi nie pozostała bez skutku: wielka ilość kupców i przemysłowców poddała się jej warunkom bez wahania. Część jednakowoż stanęła, jak to się zwykle w podobnych razach dzieje, w „obronie zagrożonych interesów,“ protestując przeciw „gwałtom“ ligi i grożąc procesami o odszkodowanie. Liga przeszła nad tem do porządku dziennego.

Harmonijna ta współdziałalność konsumentów i producentów w staraniu się o poprawę bytu i ułatwienie pracy klasie robotniczej zasługuje ze wszech miar na pochwałę i na — naśladowanie.

„Ruch chrześciańsko-społeczny.“

Sprawy zabezpieczenia.

Wielka część naszych robotników ma o rentach czy to na słabość, czy na starość, czy o rentach od wypadków nieszczęśliwych bardzo mylne pojęcie, z którego wielka dla nich wynika szkoda.

Mylne zapatrywania należy prostować, usuwać, aby przez to robotnika ustrzedz od szkody. Zróbmy dziś krótki przegląd tych mylnych zapatrywań o rentach.

Przedewszystkiem robotnicy sądzą częstokroć, że renty dostają tylko z łaski, z dobroci. Ileż to razy słyszy się takie słowa: „prosiłem o rentę,“ „błagałem ich, żeby mi renty nie odmawiali“ i t. d. Wszystko to dowodzi, że robotnik taki jest przekonany, iż urzędy wyświadczają mu łaskę niemałą przez to, że mu renty udzielają. I cóż z tego? Nie mała stąd szkoda wynika dla robotnika.

Przysłowie powiada: „Darowanemu koniowi nie trzeba patrzeć w zęby.“ To też robotnik, dopóki sądzi, że gdy rentę dają wyświadczają mu łaskę i niejako podarunkiem go darzą, dopóty ten robotnik zadawala się każdą rentą, choćby była niesprawiedliwie niską. Nawet wtenczas, gdy mu rentę obniżą, a choćby mu zupełnie ją odebrali, nie będzie przeciw temu protestował, boć jemu się zdaje, że nawet wtedy mu łaskę wyświadczają, gdy mu renty nie udzielają.

Wobec tego zaznaczamy, że renta nie jest żadną łaską, bo do niej każdy zabezpieczony robotnik ma prawo. O rentę nie potrzeba prosić, lecz można jej się domagać, bo ona się prawnie należy.

Nadto robotnicy sądzą częstokroć, że rentę można otrzymać tylko wtedy, jeżeli ktoś jest w biedzie i nie ma już utrzymania. Nieraz zdarzyło się, że robotnicy starając się o rentę, powiadali: „Żeby „oni“ się tylko nie dowiedzieli o tem, że ja mam oszczędności w banku, boby mi renty nie dali.“

Oszczędności składane w banku nie mają z rentą nic wspólnego. A chociażby kto był bogaty, ba, nawet milionerem, to do renty jeszcze ma prawo.

„Pielgrzym.“

Kontrola nad robotnikami zagranicznymi.

Zdarza się, że i w rzemiośle pracują czeladnicy zagraniczni.

Przyjmowanie robotników zagranicznych ma się odbywać w przyszłości w ten sposób, że przybywający robotnicy muszą przy przejściu granicy złożyć w biurach — w Mysłowicach lub Nowym Bieruniu — swoje papiery legitymacyjne, wystawione w języku polskim lub rusińskim, a w zamian otrzymają na czas pobytu w Niemczech (od marca do grudnia) legitymacyę, wypisaną po niemiecku. Przy wyjeździe w strony rodzinne otrzymają znowu swoje papiery z powrotem.

Dalej ma być zaprowadzoną rewizya przybywających robotników przez lekarzy, jak to się dzieje przy przejeździe polskich wychodźców przez Prusy, aby w ten sposób nie wpuszczać do kraju ludzi cierpiących na zakaźne choroby. Także w Raciborzu i Dziedzicach ma być zaprowadzoną kontrola nad zagranicznymi robotnikami.

Wszystko to bardzo pięknie, i dobrze, pytanie tylko, czy ta kontrola nad zagranicznymi robotnikami nie została urządzoną także w tym celu, aby ile możności ograniczyć napływ polskiego robotnika do kraju? — Wszakże rozmaite gazety pruskie już dawniej zalecały tak przedsiębiorcom w przemyśle, jak i gospodarzom, aby przyjmowali do pracy Rusinów w miejsce polskich robotników. W takim razie rolnicy tutejsi nie mieliby z tych biur rządowych wielkiej pociechy, przeciwnie, jeszcze więcej mieliby powodów do narzekania na brak robotnika w rolnictwie, jak dotychczas.

DZIAŁ KOBIECY.

Szycie.

Pogadanka naukowa.

Przy szyciu należy trzymać się prosto, czego hygiena i estetyka wymagają od nas. Postawa zgarbiona wpływa ujemnie na organa nasze i sprawia bardzo niekorzystne wrażenie, co przez panie brane jest więcej w rachubę, aniżeli względy zdrowia. Zaoszczędzamy je, podnosząc robotę ręczną tak wysoko, aby dostatecznem było głowę samą zlekka pochylić nad nią. Kto lubi przymocować ją do czegoś, niech używa do tego poduszeczki, ciężkiej lub przyśrubowanej, nigdy kolana.

Węzełek przy nitce, którą szyć zamierzamy, jest zbyteczny. Zupełnie mocno utrzyma ona szew, gdy ją najpierw z lewej na prawą stronę przeciągniemy paroma ściegami, po których szycie rozpoczynamy, co należy powtarzać przy każdej nowej nitce, które zaciągając, pokrywamy koniec wyszytej; poczem koniuszek wystający należy starannie obciąć. Wszelkiem urywaniem nici ściągamy szew, czego unikać potrzeba. Osoba szyjąca czy to ręcznie, czy na maszynie, powinna mieć stale z tego względu przy sobie nożyczki.

Szyjąc na maszynie trzymamy się tych samych zasad: 1) nie urywamy nitek, lecz obcinamy tuż przy robocie nożyczkami, 2) każdą nić nową, którą szew przedłużamy, zaczynamy paroma ściegami na nim.

Szycie wykonywa się czterema sposobami: przed igłą, za igłą, stębenkiem i okrętką. Podstawą wszystkich ściegów jest ścieg zwyczajny, zwany „szyciem przed igłą". Chcąc, żeby takowy był równy, przekłuwamy materyał co każde 3 nitki.

Szyjąc przed igłą, zaczepiamy po 6 nitek materyału, lecz każdy następny ścieg zaczynamy w połowie poprzedniego. Bardzo wiele osób łączy oba sposoby razem, t. j. szyjąc „przed igłą" wykonywa od czasu do czasu ścieg „za igłą", czyli przekłuwa materyał w połowie ostatniego ściegu, co szew wzmacnia, a nie jest tak powolną robotą, jak jednostajny szew, wykonywany „za igłą".

Stębenek otrzymamy wtedy, gdy wykonawszy pierwszy ścieg „przed igłą" każdy następny raz, nakłujemy materyał igłą w tym punkcie, z którego nić wyszła, przyczem wypada posuwać ją stale o 3 nici dalej, czyli chwytać w dalszym ciągu po 6 nitek. Ścieg ten, naśladując maszynowy, może służyć do ozdoby, jeżeli linia szwu utrzymana prosto. Dla ułatwienia sobie tego, można w materyale zrobić załamek, albo wyciągnąć jedną z nitek podłużnych, której śladem wykonamy ścieg prosto.

Obrębiać bieliznę można dwojako: zwyczajnie i ozdobnie. Aby wykonać obrąbek zwyczajny, załamujemy najpierw brzeg na 2 mm. szeroko, wygładzamy go potem kostką lub paznokciem na stole; poczem załamujemy powtórnie nieco szerzej, równo z nitką i przyszywamy ściegami skośnemi.

Aby obręb był zupełnie równy, najlepiej i tu wyciągać w stosownej szerokości jedną nitkę i śladem tym nakłuwać materyał igłą, którą zaczepiamy po 2 nitki z załamu. Ściegi ukośne, wykonywane w odległościach co 3 nici, są najładniejsze. Obrębki ozdobne robią się na prawej stronie przyozdobianej niemi bielizny, poczem wyciągamy nić z załamka w odległości dwu nici.

Każdy zwyczajny szew w bieliźnie należy zapodszyć, co wykonywa się w sposób następujący: z dwu zeszytych brzegów ścina się jeden przy szwie, drugi zaś załamawszy na szerokość 2 mm. zakłada się płasko, tak, by pokrył szew cały, i przyszywa go się ściegami skośnemi, podobnie jak zwyczajny obrąbek.

Batysty wymagają bardzo wąskich obrąbków i zapodszewkowań, nie zakładanych, a zwijanych tylko w palcach w miarę szycia.

Kawałki płótna które chcemy zszywać okrętką, trzeba najpierw przefastrygować, tak, aby oba brzegi podłużne leżały na jednej linii i nie mogły usuwać się z pod igły. Następnie dopiero zszywamy je, zaczepiając igłą płótno prawie za nić brzeżną. Jeżeli wykonywamy szew z prawej ku lewej stronie, należy uderzać igłą w brzeg dolny, a jeżeli wolimy szyć z lewej na prawą stronę, wygodniej uderzać w wierzchnią. W obu wypadkach powinny ściegi być ukośne. Nici używane przy szyciu okrętką powinny być tej samej grubości co weba. Po zaszyciu należy szew wygładzić paznokciem.

Zeszywanie weby odbywa się i w inny sposób, mianowicie krzyżówka. W celu tym fastrygujemy kawałki płótna brzegami, jak do okrętki, a następnie zaczepiamy igłą każdy z dwu brzegów oddzielnie z lewej strony na prawą, aby ściegi krzyżowały się wzajemnie. Ten sposób szycia — jakkolwiek mozolny, jest bardzo odpowiedni, jako najbardziej płaski szew dający przy zszywaniu prześcieradeł płóciennych, złożonych z dwu kawałków.

Ścieg kryty polega na przejmowaniu przy obrębianiu dwu, zamiast 3 brzegów, mianowicie dolny i wewnętrzny, podczas gdy załam wierzchni zostaje wolnym od szwu — i leży w postaci ruloników.

„Dobra gospodyni".

Prawo wyborcze kobiet w Ameryce.

„Nowa gazeta" podaje wyciąg z czasopisma „The Outlook" w którem polityk amerykański p. Lawrence Lewis pisząc o kobietach wyborczyniach twierdzi, że z prawa wyborczego korzystają głównie kobiety z zamożnych sfer społeczeństwa i prostytutki.

Czy mamy się temu dziwić? Sądzę, że nie, bo właśnie sfery najbardziej uświadomione z jednej strony — i najbardziej poniżone w swej godności ludzkiej z drugiej strony, stanowią żywioły, odczuwające silniej konieczność wywarcia pewnego wpływu na skład sfer rządzących, od których wyjść może zmiana wielu ohydnych urządzeń i praw.

P. Lewis dowodzi wprawdzie, że „nadzieja zmniejszenia się korupcyi w życiu publicznem pod wpływem udzielonego kobietom prawa wyborczego nie zupełnie się ziściła," ale w dalszym ciągu stwierdza, że „Prawo wyborcze kobiet oddziałało dobroczynnie na nauczanie publiczne." W tej dziedzinie kobiety od lat przeszło dziesięciu prawie decydują. Stanowisko najwyższego kierownika spraw oświaty publicznej w Kolorado zajmuje kobieta; z 59 okręgów szkolnych 37 kierują kobiety. Mają one zatem większość i wybierają również kobietę na kierowniczkę. Pan Lewis stwierdza wreszcie, że w przeciwieństwie do wszystkich innych zarządów państwowych, w zarządzie szkolnym przekupstwo wcale nie istnieje.

ROZMAITOŚCI.

W sprawie Spiridonównej. Skutkiem faktów, ogłoszonych przez „Ruś“, utworzył się w Paryżu komitet protestu z inicyatywy braci Pawła i Wiktora Margueritte. Oto tekst ich protestu: „Męczarnie, które musiała znieść młoda rosyjska dziewczyna, wstrząsnęły zgrozą całą Rosyę. Nowa Karolina Korday została skazaną za zbrodnię, jaką popełniła zabijając okrutne zwierzę, wicegubernatora Tambowa Łużenowskiego, który wymordowywał pod nahajkami całe wsie i kazał rozstrzeliwać masy ludzi bez sądu i śledztwa. M. Spiridonówna musiała znieść od swoich oprawców niesłychane tortury, godne średnich wieków. Ciągnięto ją za nogi po schodach głową na dół, która rozbijała się o każdy stopień z osobna, rzucono ją zupełnie nagą do lodowej ciemnicy, była chłostana, zawieszona w powietrzu za włosy, wydzierano jej włosy garściami, wyłupiono jej jedno oko, katy jej, kozacy, przypalali jej ciało papierosami, wydzierali paznokciami strzępy skóry z jej ciała, w końcu bezsilna i wyczerpana padła ofiarą zwierzęcej chuci oficera Abramowa. Wszystkie te fakta zostały stwierdzone i sprawdzone na śledztwie przez redaktora „Rusi“ Władimirowa, zeznaniami lekarza więziennego i przez akt oskarżenia, w którym prokurator sam podnosił te okoliczności. Mimo to wszystko Marya Spiridonówna została skazana na śmierć. Zostanie ona powieszoną, jeżeli nie zdołamy wydrzeć katom jej umęczonego ciała. Nie powinno się to stać — żeby ten gwałt ludzkiego sumienia został spełniony do końca. Podpisani uważają za swój obowiązek zaprotestować przeciwko przywróceniu tortur w Rosyi i wyrażają życzenie, żeby rząd rosyjski nie uświęcał swojem potwierdzeniem tych okrucieństw i cofnął wykonanie wyroku śmierci na Spiridonównej“. Pierwsze podpisy dali najwybitniejsi przedstawiciele naukowej i literackiej Francyi, jak bracia Margueritte, Anatole France, Sully Prudhomme, Ch. Seignobos, Maurycy Meterlinck, Józef Reinach i w. i.

Listy rozesłane po kraju przez komitet zbierają liczne podpisy, mające na celu uratowanie życia Spiridonównej.

* * *

45 000 wdów. Po poległych w ostatniej wojnie rosyjsko-japońskiej szeregowcach zostało 45 000 wdów. Ministeryum rosyjskie spraw wewnętrznych opracowało przepisy o przeznaczenie im emerytury od skarbu. Projekt został złożony w radzie państwa z prośbą o jak najrychlejszą decyzyę, wobec nagłości sprawy. Na cel ten potrzeba będzie rocznie z górą milion rubli.

* * *

Tragedya małżeńska. W Czeskiej Lipie toczył się przed kilku dniami proces rozwodowy murarza Pitschmana z żoną. Gdy ta szła do sądu, napadł ją Pitschman i siekierą zadał jej kilka cięć w głowę, powodując natychmiastową śmierć. Sam wrócił do domu, wzniecił pożar w mieszkaniu i spalił się na węgiel.

* * *

Oryginalną zemstę na prokuratorze wywarł ktoś w Chicago. Gdy tamtejszy prokurator, Yellow, odbywał inspekcyę więzienną i dla próby usiadł na krześle, na którem za pomocą prądu elektrycznego wykonywują wyroki śmierci, ktoś puścił tak silny prąd, że Yellow w jednej chwili padł martwy. Mimo śledztwa nie wyszukano dotąd sprawcy tego czynu.

* * *

O mało, że nie została żywcem pochowaną. Z Nowego Jorku donoszą, że pewna młoda kobieta, nazwiskiem Ms. W. Sherwood w La Crossie, stolicy Stanu Wiscosin, o mało, że nie została żywcem pochowaną. Miała właśnie wyjść powtórnie za mąż, gdy zachorowała i wpadła w letarg. Lekarze orzekli, że umarła. Złożono ją więc na łóżku, zaświecono świece, narzucano kwiatów i wieńców, a nazajutrz miał się odbyć pogrzeb. W nocy, przed pogrzebem, znajdujący się w sąsiednim pokoju krewni i znajomi, usłyszeli nagle szelest, lecz gdy zajrzeli do pokoju umarłej — wszystko było cicho i spokojnie. Po chwili jednak usłyszeli krzyk i gdy przerażeni wpadli do pokoju, znaleźli umarłą w postawie siedzącej na łóżku. Przywołano lekarzy i przy pomocy ciepłych kąpieli, przywołano kobietę do przytomności, skutkiem jednak silnego wstrząśnienia nerwowego dostała gwałtownej febry. Gdy się pacyentka uspokoiła, opowiadała, że miała poczucie wszystkich przygotowań do jej pogrzebu, jednak nie mogła w żaden sposób nawet poruszyć się. Czuła doskonale, że leży w półśnie i to jej zmniejszało obawę być pochowaną żywcem; spodziewała się, że we śnie pochowana, przed zbudzeniem się powinna umrzeć, a więc nie będzie znosiła żadnych mąk. W chwili dopiero, gdy przebudziła się z letargu, cała okropność pochowania żywcem stanęła jej przed oczyma.

* * *

Co zrobił obłąkany dentysta? Rzecz się miała w zeszły poniedziałek w Paryżu. Do pacyenta, który przybył z jednym chorym zębem, rzekł dentysta:

— Nie ruszaj się pan: Wyrwę panu wszystkie zęby, a nie zapłacisz więcej, jak za jednego.

— Ale ja przyszedłem tylko z [illegible]nym zepsutym zębem! — zaprotestował młody mężczyzna, który już cierpiał okropnie...

— Mówię panu, że wyrwę ci wszystkie, jednego po drugim — a pan, zamiast mi dziękować, gniewasz się! Widzisz pan ten rewolwer? Dobrze; więc jeśli mi się choć poruszysz z krzesła... palnę ci w łeb — i basta.!

Dentysta położył rewolwer na operacyjnym fotelu, tuż przy pacyenta głowie. Nieszczęśliwy pacyent, widząc, że wpadł w ręce obłąkańca, polecił duszę Bogu — i przeszedł całe piekło mąk...

Skończywszy operacyę, dentysta dotrzymał słowa: zażądał zaledwie paru franków. Wyraził nadto nadzieję, że pacyent zarekomenduje go znajomym i może sam wróci... po sztuczny garnitur. Z tem go pożegnał. Młodzieniec znalazłszy się na ulicy, pobiegł do najbliższego komisaryatu policyi i tam bezzębnie opowiedział swoją przygodę. Komisarz wiedział już, że ów dentysta zdradzał obłąkanie — teraz dowód był aż nadto dosadny, więc nie zwlekając ani chwili, zarządził jego natychmiastowe odstawienie do domu waryatów.

Ale biedny młodzieniec stracił bezpowrotnie zęby, w dodatku zachorował niebezpiecznie na zupełny rozstrój nerwowy.

* * *

Bismark aresztowany. W Berlinie aresztowano świeżo zawodowego złodzieja 26-letniego Karola Bismarka. Spostrzeżono go, kiedy się włamywał do pewnego magazynu. Rozpoczęła się szalona pogoń, w której tak ścigany jak i ścigający go właściciele dawali strzały z rewolwerów.

* * *

Plamy na słońcu. Z Lublany donoszą, że w tamtejszem obserwatoryum poczyniono różne spostrzeżenia, stwierdzające, że plamy na słońcu znacznie się powiększyły. Może to wpłynąć na różne zjawiska, jak trzęsienie ziemi itd.

Humorystyka.

Tam na błoniu...

(Śpiewka Królewiaka.)

Tam na błoniu błyszczy kwiecie,
Stoi strażnik na pikiecie,
Pełen troski,
Czy wśród wioski
Niema buntu gdzie.

Patrzy, węszy, słucha, bada,
Czy nie zbiera się gromada,
Czy z uchwałą
Kto zuchwałą
Nie wystąpi znów.

Czy chłop ciemny się nie uczy,
Czy podatkiem skarb utuczy;
Z dobrej woli
Monopoli
Czy pilnuje wciąż?

Tam na błoniu błyszczy kwiecie,
Stoi strażnik na pikiecie,
Koniokrada
Spotkał — bada,
Czyli paszport jest?

„Stój, poczekaj, mój strażniku!
Nie rób gwałtu, nie rób krzyku...
Pójdź do Małki,
Tam gorzałki
Napijemy się.

„Co ci zerkać w chłopskie chatki!
Patrz: tu złotko... lubisz wziatki?
Twoje gronie,
Moje konie
I skończona rzecz.“

. . . .

Tam na błoniu błyszczy kwiecie,
Zasnął strażnik na pikiecie,
Chłopskie szkapy
Wpadły w łapy
Koniokrada już.

Tytuły wiadomości w pismach warszawskich.

Przed pół rokiem.

Teatr Wielki.
Teatr Rozmaitości.
Teatr Nowości.
Teatr Ludowy.
Teatr w Ogrodzie Saskim.
Z teatrów amatorskich.
Koncert w Filharmonii.
Koncert dobroczynny.
Z życia towarzyskiego.
Wesoły złodziej.
Karygodny figiel.
Przejechania.
Złamany mostek.

Obecnie.

Aresztowania.
Konfiskaty.
Strzały na ulicy.
Pchnięcie bagnetem.
Zranienie kolbą.
Rewizye.
Wyroki administracyjne.
Wysłanie z kraju.
Z pogotowia ratunkowego.
Grzywny.
Postanowienie obowiązujące.
Kozacy na chodnikach.
Zawieszenie pisma.

O „Wawelu“.

Fale wód
„Wawel“ pruł,
Płynąc hen
Wisłą w dół.
Graczy ród
Znalazł żer...
Słychać wciąż:
Pik!.. trefl!.. kier!..
Nagle... ach!
Indyan moc
Z różnych dziur
Hyc i hoc!
Błyśnie wnet
Lufy stal:
Prosto w łeb
Graczom pal!
Wnet trzech — bęc
I dwóch — fajt!
Strzelcy myk
I...*all right!*
Jak wśród puszcz
Dzikich stron,
Krwawy *lynch*
Zbiera plon.
Kodeks praw
Poszedł w kąt,
Każdy sam
Sprawia sąd.
W każdym wre
Wściekłość, gniew,
Toczy rad
Bliźnich krew.
Byle co
Wnet... pif! paf!
Gdzież więc są
Stróże praw?
Przeszli snadź
Dziś do bajd —
I to jest
Nie... *all right!*

Jest sposób.

— Gdyby władza była w moich rękach, tobym w parę dni zaprowadził zupełne bezpieczeństwo na ulicach i w domach Warszawy.

— W jaki sposób?

— Zamiast obecnych niedołęgów stójkowych, postawiłbym na ich miejsce anarchistów-komunistów; w trzy dni wszystkoby uspokoili.

Lodzermann.

Czy go Moserem, Schultzem czy Müllerem
Nazwiem, to dla nas obojętnem będzie,
Dość: przywędrował z Vaterlandu zerem,
A dziś na łódzkiej mocno siedzi grzędzie.

Przywiózł go do nas w biedzie nie nasz pudel,
Nędza go gnała tu na naszą ziemię
I popychała tej dwukołki rudel,
Z której szarańcze padło na nas plemię...

Z warsztatu wkrótce powstała fabryka,
Z niej się niedługo T-wo Akcyjne rodzi,
Herr Müller więcej już knastru nie pyka,
Ale z hawańskiem rozjeżdża po Łodzi.

Głupia Polaka, głupia polska mowa,
Głupia jest Zeitung, co po polsku stoi,
Do nic jest fähig każden polska głowa —
Tak w polskiem mieście Niemiec Müller roi.

Obcym mu język jego robotnika,
Obcą kultura, pośród której żyje,
Co dla nas święte, wzgardą go przenika,
Przed jednem tylko gnie milioner szyję:

Nie chcąc w nas uznać, w swojej wrogiej bucie,
Narodu, w którym myśl jest, serce, dusza,
Wyższość w kozackim jeno widzi knucie
I przed pristawem chyli kapelusza.

Ceniąc rozkazy policyi wysoko
Ku której żywi uczucia najświętsze,
Oto co w Łodzi widzi jego oko:
Cyrkuł, „Apollo“ i ratusza wnętrze.